

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

1 lutego 1939 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
62 NUMER PISMA

Sygnalizacja

dwutygodnik • sprawy społeczne • literatura • sztuka.

JERZY BOREISZA

STARE SZTANDARY I NOWE CZASY

I IDEOLOGIA JAKO CZYNNIK WTORNEGO ODDZIAŁYWANIA

Nieraz odwagą jest dać wyraz w publicznej wypowiedzi opinjom, które inni tchórzliwie ukrywają po kątach. W niektórych kołach inteligencji socjalistycznej, bądź też stojącej w orbicie wpływów socjalizmu błąka się obecnie ni to opinia, ni to teoria, że właściwie dorobek światopoglądowy socjalizmu przeżył się, że „w obliczu zwycięstw faszystów“ należy nie tylko zmienić program działania socjalistów, ale zrewidować u podstaw założenia teorii. Jan Nepomucen Miller ma odwagę powiedzieć publicznie to, co inni szeptają sobie na ucho przy kawiarnianych stolikach. Ostatni programowy artykuł J. N. Millera (p. t. „Libido dominandi“ klasy i narodu“ („Wiadomości Literackie“, nr. 787) nie jest zresztą w jego światopoglądzie ani poślisznięciem, ani też upadkiem. Jest tylko etapem dotychczasowych prób nowatorskich, ukoronowaniem pewnego procesu myślowego. A że poglądy, wyrażone jawnie w artykule J. N. Millera, nurtują w umysłach wielu socjalistów — skłania to nas do podjęcia polemiki.

Rewizjonizm w ruchu socjalistycznym nie jest zjawiskiem powstałym dopiero w okresie faszystów. Odwrót myśli mieszczańskiej od materializmu, który nastąpił pod koniec — a nie w pierwszej połowie — zeszłego stulecia, znalazł oddźwięk i w ruchu socjalistycznym i w próbach rewizji światopoglądowych podstaw socjalizmu, które każdy może sobie, rzecz jasna, dowolnie dorabiać, nie fałszując jednak przytem faktu, że naukowy socjalizm, t. j. marksizm łączy się z określoną teorią filozoficzną, a mianowicie z materializmem dialektycznym. Wykazał to Lafargue w dyskusji z Jaurèssem, i Plechanow w dyskusji z narodowolcami. Nie należy podawać w wątpliwość szczerości lub uczciwości tych, dla których socjalizm jest sprawą taktyki oderwanej od koncepcji teoretycznych; nie powinni jednak przytem twierdzić, że jest to opinia socjalizmu naukowego, skoro tak nie jest. Nieraz zdarzały się okresy, gdy marksizm przestawał być modny w kołach snobizujących inteligentów, gdy pod naporem czarowniczej tuszki wypierano się tchórzliwie łączności z Karolem Marxem albo Engelsem. Ale czyż godzi się dla własnej wygody i usprawiedliwienia swej rejterady mieszać materializm mieszczański z materializmem dialektycznym?

Jakgdymy niezależnie, w rzeczywistości jednak w parze z ideologicznym rewizjonizmem czasów reakcji kroczy rewizjonizm taktyczno-polityczny. Niektórzy reakcyjni pisarze, nie znający dziejów ruchów społecznych, ujrzeni w polityce Spaaka krach socjalizmu. Oto dowód, powiadają, jak w dzwoni socjalizmu łamią dyscyplinę. Po tem, gdy Spaak odszedł czy odchodzi od tradycji socjalizmu — socjalizm nie zawali się jeszcze, tak samo jak nie załamał się po okresie ministerjalizmu we Francji, gdy odeszli nie takie Spaaki, ale Aleksander Millerand, i Briand, i Viviani; a iluż późniejszych polityków mieszczańskich przeszło przez „okres młodzieńczy“ socjalizmu? Jednak socjalizm przetrwał. Jeśli Spaak nawet zdradzi międzynarodówkę socjalistyczną, nie zmieni to faktu, że nie tylko proletarijat, ale i cała Belgia w chwili przełomu będzie zmuszona zwracać się o pomoc do międzynarodowej solidarności demokracji socjalistycznej.

W czasach reakcji dbać musimy nade wszystko o wytrwałość ideologiczną; nie ulega wątpliwości, że czasy faszystów zbliżyły do socjalizmu szereg potężnych prądów ideologicznych, nie oznacza to jednak, by istota owych prądów, albo też istota socjalizmu ulegała zmianie.

Zdaje się, że jeśli chodzi o dyskusje ideologiczne, utarł się przesąd, jakoby ideologia stanowiła tylko nadrzędną, wtórną nadbudowę, wypływającą w prosty i mechaniczny sposób z podstawy ekonomicznej. Ideologia — w myśl twierdzenia wulgaryzatorów — jest tylko wypływem pewnego układu sił gospodarczych i ma zmieniać się automatycznie wraz ze zmianą tego układu. Przesąd ten jest nagminny, jak szereg innych przesądów w stosunku do socjalizmu.

Socjalizm naukowy nie tylko odrzuca podobne uproszczenia, ale przyjmując z systemu Hegla teorię „Wechselwirkung“, uznaje współzależność czynników, odwrotne oddziaływanie skutku na przyczynę. Toteż przyjmując czynnik rozwoju sił wytwórczych jako ogień główne, socjalizm wielokrotnie w pracach swych twórców podkreślał, że ideologia wpływa drogą wtórnego oddziaływania na bieg wypadków w każdej dziedzinie życia społecznego, stanowiąc bądźto wazki hamulec, bądź też katalizator, czynnik przyspieszający przemiany. Przemiany bowiem są nie tyle skutkiem mechanicznego rozwoju obiektywnych warunków, ile wypadkową współdziałania realnego układu sił i czynnika subiektywnego, uwarunkowanego ideologicznie przesłankami.

Stąd, z tych prawd, które zna każdy, kto poza kilku lichymi broszurami propagandowymi, zechciał przeczytać dzieła klasyków socjalistycznych, płynie troska, przekazana młodszemu pokoleniu o zachowanie starych sztandarów ideologicznych. Stąd czujne oko w stosunku do wszelkiego rewizjonizmu, stąd nieustępliwa obrona zasadniczych, podstawowych założeń. Ideologia nie jest bowiem więżą z kości słoniowej, wznoszącą się ponad rzeczywistością, ale krwią i kośćmi sprzęgnięta jest z codzienną rzeczywistością społeczną. Toteż walka Vanderveldego z De Manem w belgijskim ruchu socjalistycznym starcie między Żyromskim a Déatem i Renaudelem we francuskim ruchu robotniczym; walka z rewizjonizmem w hiszpańskim ruchu socjalistycznym — ma bezwzględnie nieuchronny, bezpośredni wpływ na każde przesunięcie w realnej polityce.

NA UDEPTANĄ ZIEMIĘ

Jeśli dyskusja ma toczyć się na udeptanej ziemi, należałoby ustalić szereg terminów. Tem bardziej, że J. N. Miller rozpoczął swój rewizjonizm od zmiany utartych pojęć, aby wtłoczyć w nie nową treść. Odrzuca więc pojmowanie imperjalizmu jako pewnej epoki w rozwoju kapitalizmu, natomiast przenosi na teren zagadnień polityczno-gospodarczych pojęcie imperjalizmu w rozumieniu francuskiego romantycznego krytyka literatury, Seillière'a. Idąc jego śladem uważa za swe zadanie „wyznaczenie właściwych granic ludzkiej „libido dominandi“ (żądza panowania), przeciwstawienie imperjalizmu racjonalnego, kierowanego przez wiedzę i rozsądek imperjalizmowi irracjonalnemu, rozwijającemu swoją dynamikę ślepych namiętnościom“.

Wobec takich zadań dochodzi Miller do wniosku, że imperjalizm w pojęciu gospodarczym (etap rozwoju kapitalizmu) jest imperjalizmem irracjonalnym.

Nieporozumienie? Czy ludzka „żądza“ panowania — jeśli istnieje poza wyobraźnią literatów, jako abstrakcyjna siła — to przeciwstawienie „ślepych namiętnościom“, które mają rzekomo kierować imperjalizmem, jako etapem w rozwoju kapitalizmu? Wydaje mi się, że ten podział na imperjalizm irracjonalny i racjonalny jest zgola dowolny, literacki. J. N. Miller twierdzi bowiem, że „życie jest ślepe i nienasycone“. A wszystko, co rozpatruje, jest przeciwieństwem, a więc imperjalizm; należy zatem na podstawie tych określeń przypuszczać, że wszelki imperjalizm jest irracjonalny. Albo przyjmujemy twierdzenie socja-

lizmu naukowego, że życie społeczne nawet w swych pozornie „irracjonalnych“ objawach podlega ścisłym, racjonalnym prawom, albo też staniemy na stanowisku określania wszystkiego przez jakieś mistyczne, ślepe siły działające poza osiągalnością naszego umysłu.

Skoro rozpatrujemy problemy społeczne, ekonomiczne, polityczne, wolno domagać się ścisłości w określaniu terminów, którymi się autor posługuje. Jeśli trzonem rozumowań J. N. Millera jest zagadnienie narodu, sądziliśmy, że wolno nam domagać się definicji tego, co rozumie pod tym terminem. „Przez naród — powiada Miller — pojmować będziemy zespół ludzi związanych pewnymi powinowactwami“. Ale taka definicja nie pozwala nam jednak zrozumieć, co wchodzi w zakres kultury, życia danego narodu, gdyż narodem w myśl tych rozumowań może być równie dobrze cała ludzkość, jak ludność najsłabszego miasteczka.

Utudnia nam również dyskusję to, że autor używa terminów: żądza panowania, zaborczość, irracjonalizm i racjonalizm, nadając im nową treść, a nie określając w jakim znaczeniu ich używa.

Nie należy jednak sądzić, że przyczyną użycia przez Millera słowa imperjalizm jest tylko kaprys. Gdy niemiecki faszizm do swej nazwy „nazional“ dodaje jeszcze „szcjalisten“, czyni to z premedytacją demagogiczną, pragnąc pociągnąć do swego obozu masy, wierzące w socjalizm. Jeśli Miller przyjmuje z dobrodziejstwem inwentarza termin imperjalizm do ideologii socjalistycznej, nie czyni tego chyba po to, aby drogą demagogicznego chwytu pociągnąć zwolenników imperjalizmu do socjalizmu. Zbyt poważny jest sposób myślenia J. N. Millera, abyśmy go mogli posądzić o niechlujstwo terminologiczne w sensie szkoły Stanisława Brzozowskiego. Poprostu, Miller — jak postaram się wykazać — przyswaja nie tylko termin, ale częściowo jego treść.

RACJONALIZM I IRRACJONALIZM

Socjalizm, jako kierunek naukowy jest najpoważniejszą ideologią współczesnego racjonalizmu. Nie tu miejsce na dyskusję z Henrykiem De Manem, który podzielił schematycznie dzieje filozofii na wiek XIX i XX, przy czym w XIX w. miał królować racjonalizm, zaś okres powojenny jest okresem tylko antyracjonalistycznym. Racjonalizm, a o tem wie każdy, bodaj elementarnie obeznany z dziejami filozofii, istniał przed i po wieku XIX, tak samo, jak irracjonalizm. Warunki historyczne i społeczne sprawiają, że w pewnych ideologiach góruje irracjonalizm, w innych zaś racjonalizm. Owo znikanie i pojawianie się silnych prądów irracjonalnych w XX w. zbałał Georga Friedmanna w swej pracy „La crise du progrès“. Twierdząc, że racjonalizm powstał wskutek przewagi w XIX w. wpływu nauk przyrodniczych, podczas gdy w XX w. w naukach humanistycznych góruje psychologia, która ma ponoć wpływać na powstawanie irracjonalistycznych prądów, hasa sobie De Man bardzo dowolnie po dziejach myśli ludzkiej.

Socjalizm, jako kierunek naukowy, jest również z istoty swojej monistyczny, t. zn. rozpatruje świat jako jedną całość, w której dostrzega motor główny, ogień dominujący. Stąd rozplanowanie zjawisk, uszeregowanie ich w pewnej perspektywie, wysuplanie z pozornego chaosu świata rzeczy istotnych i drugorzędnych, przypadkowych.

Miller przeciwstawia monizmowi socjalistycznemu stanowisko „wielościowe“, pluralistyczne, powołując się przytem na pluralizm filozoficzny pragmatyzmu Williama Jamesa. „Istnieje — pisze Miller — wspólnota ludzka i narodowa, rasowa, klasowa i historyczna, stanowa, rodzinna, plecio-

wa i zawodowa, istnieje wspólnota wieku, koloru oczu, włosów i braku uwłosienia, może istnieć wspólnota tych, którzy kończą się na „icz“ i wspólnota tych, którzy zaczynają się na „R“.

Słusznie: istnieje tyle wspólnot. I jeszcze więcej. Ale co określa ich wzajemny stosunek, co pozwala nam wyłowić w tem nagromadzeniu wszelakiego rodzaju dowolnych grup istotne, główne motory? Otóż zdaniem Millera prawdę określa starcie podmiotu poznającego z przedmiotem poznawanym, które „zmierza do przystosowania czy adaptacji świata zewnętrznego do potrzeb danej wspólnoty“. A więc poznanie jest zdaniem J. N. Millera absolutnie relatywne, t. zn. prawda jest każdorazowo określona przez podmiot poznawcy, jest zmienna tak, jak zmienna jest psychika każdego człowieka. Pamiętajmy o tem również, że umysł poznający jest funkcją irracjonalnego życia. Mamy więc tu powiązanie pluralizmu z irracjonalizmem, powiązanie, które zdaje się, znacznie odbiega od bardziej subtelnej gry pragmatyzmu.

Coprawda, gdzieindziej pisze Miller, że owa irracjonalna podstawa wszechrzeczy może ulec ograniczeniu przez „zastąpienie imperjalizmu irracjonalnego — racjonalnym“. Jakaż jest jednak skomplikowana droga owej zamiany? Miller tego nie wyjaśnia. Jeśli owa irracjonalna żądza panowania („libido dominandi“) ulega racjonalnemu ograniczeniu, staje się to chyba w imię większego rozrostu życia, które jest wszak „ślepe i nienasycone“. Sądzę, że nie zmienię nic w biegu myśli Millera, jeśli powiem, że racjonalizm jest dlań małym przystankiem na zawołanie, po którym „irracjonalne życie“ nabiera rozpędu.

Mimochoodem należy zwrócić uwagę na zbieżność niektórych poglądów J. N. Millera z poglądami Wiktora Altera, rzecznika odmiennego coprawda rewizjonizmu, który znalazł wyraz w jego ostatniej książce „Człowiek w społeczeństwie“. Książkę tę wypadnie nam wkrótce omówić oddzielnie. Owóż w książce W. Altera występuje najmniej szatańska siła, aniżeli millerowska „żądza panowania“, a mianowicie abstrakcyjnie pojęty instykt wolności. „Ten sam irracjonalny instykt — powiada Alter — pcha jednego do narzucenia swej woli drugiemu, a tego drugiego do wyzwolenia się spod ucisku pierwszego“. „Instykt życia — powiada gdzieindziej Alter — jest równie irracjonalny i niezrozumiały, jak wszelki instykt, jak powiedzmy instykt zachowania rodzaju, zwany inaczej miłością. Ekspansja instyktu wolności niszczy instykt społeczny i naodwrot“.

Owo różdkarskie poszukiwanie eliksiru życia przypomina mi pewnego znajomego, domorosłego polskiego Colasa Breugnona, który podczas spaceru wczesną jesienią w swej małej posiadłości pod Warszawą tak oto wyjaśniał tajemnicę świata: „A wie pan, czemu te krzewy kwitną, czemu my żyjemy?“ „Nie wiem“ — odparłem. „A bo proszę pana, we wszechświecie jest ze dwadzieścia kilo rozproszonego życia, i stąd wszystko żyje i rozwija się“.

Zarówno u Millera, jak i u Altera mamy ten sam nawrót od determinizmu dialektycznego do metafizycznego ujęcia pojęć w oderwaniu, absolutnie, poza realnym bytem. Nie są to bynajmniej rzeczy nowe. Wiele jest tu z metafizyki Maxa Stirnera i tych wszystkich, których tak zaciekłe twórcy socjalizmu zwalczały w swej „Ideologii niemieckiej“. Natomiast naukowa teoria poznania, właśnie psychologia, na którą De Man powołuje się, zerwała — poza metafizyką niektórych freudystów — z podobnym traktowaniem instyktów samych w sobie, rozpatrując je na tle całokształtu bytu ludzkiego.

Jeśli chodzi o sprawę źródeł racjonalizmu i irracjonalizmu, pragną niektórzy przypisać ich powstawanie okolicznościom

FRANCISZEK GIL

Mesjasz niemiecki narodu ukraińskiego

FERMENTY NA MARGINESACH

Jesienią 1936 roku żyła gotycka Norymberga „Parteitag“iem, z hitlerowskiej Mekki coraz rzadziej spoglądano za Ren bo nad miastem unosił się miedziano-złoty miraż rosyjskich cerkwi, kruszców Uralu i spichrzów — legendarnych „Kornkammer“ — Ukrainy. Już na dwa lata przed Chamberlainem „gośćmi“ Berchtesgaden byli generałowie Denikin i Gurko: szły wówczas układy o wspólny marsz na Z. S. R. R. i „białym“ wodzom przeszłości proponowano prowadzenie ukraińskiego ruchu niepodległościowego. Szale pertraktacji przeważała niechęć większości emigracji rosyjskiej do dzieła rozbioru Z. S. R. R. pod przewodnictwem Hitlera. Dynamika restytuowanej linii Hamburg—Berlin—Bagdad załamała się, osłabła na dwa lata, po Sudety i arbitraż wiedeński, które niespodziewanie poszerzyły marginesy problemu polsko-ukraińskiego o wielkie potacie Europy południowo-wschodniej; linie ich biegną już lukiem Karpat, wydłużają się w eksterytorjalne autostrady: Wrocław—Brno—Wiedeń i Dreżno—Praga—Bardjów. To jest przeciecz ten Bardjów z „Popiołów“, po których smuje się mit wielkiego cesarza Francuzów, „sire“a salutującego szeregi Polaków walczących za wolność ludów. Gasnący na św. Helenie Bonaparte notował w pamiętniku, że jedną z największych jego myśli było „skupienie tych samych ludów geograficznych... Francuzów, Hiszpanów, Włochów, Niemców... rozbitych przez rewolucję i politykę“. „Mały kapral“ twierdził, że w Europie możliwa jest tylko równowaga wielkich ludów, z każdego z nich chciał uczynić jednolitą bryłę narodową, był pewien, że skupienie to nastąpi — a historia podkreśliła słuszność jego zapisków. Było to przeciecz daleko do roku 1848, pierwszego postulatów autonomii narodowościowej Rady Głównej Rady Roskiej we Lwowie, na długo przed urzędowaniem hr. Stadionia i nikt wówczas nie myślał na serjo o tworzeniu jednolitej bryły narodowej z ludów mieszkających nad Dnieprem, Donem, w Karpatach, na Bukowinie i w Galicji; później wystąpił ze swoją ukraińską poezją kształcony w Petersburgu malarz Taras Szewczenko, zwiastun krystalizacji świadomości narodowej tych ludów. Mikołaj I zapędził go za polityczną działalność w sołdaty, do karnej kompanii na stepy kirgiskie, gdzie doczekał się łaski Aleksandra II i umarł już samotnie w listopadowym nadnewskim mieście.

Bardjów Heleny i Rafała przechodzi dziś z „Popiołów“ do kalkulacji niemieckiego „Auswärtiges Amt“, na tajemnicze stanowisko ostatniej stacji niemieckiej autostrady. Leży wszak na wysokości Krynicy czy Jasła, tuż przy brzegach łemkowszczyzny, o której okupacyjny gubernator Galicji hr. Bobrinskij mówił 14 września 1914 r. jako o „najdalszych krańcach ruskiej ziemi“, stąd już łatwiej jest przeciecz Małopolskę Wschodnią w kierunku żytomierskim i bliżej jest do spichrzów Ukrainy niż z Bytomią, Zbąszczynią czy Królewcą.

W książce Wańkowiowa „Na tropach Smetka“ chodzą na którejś stronie zegary, wskazują ile minut, nie godzin, trzeba sa-

rasowym. Alfred Rosenberg łączy „semickie źródła marksizmu i katolicyzmu“, przypisuje im racjonalizm Marxa i Tomasza z Akwinu, łączność między Rzymem i jakobinizmem, kościelny uniwersalizm i racjonalizm. Kto inny szuka żydowskiej genetyki pochodzenia marksizmu, łącząc go z racjonalizmem rabinów lwowskich. Idąc drogą podobnych rozumowań można powtórzyć zdanie Huxleya, że żyd „Bergson przeprowadził zabójczy atak intelektualny przeciwko intelektowi, czem przygotował drogę do usystematyzowanej paranoi Hitlera“ (cytat z książki „Nad Zatoką Meksykańską“, str. 206). W tak dowolny sposób posługując się metodą nacjonalistyczną, można na uparte go irracjonalizm niektórych antymarksistów połączyć łatwiej z irracjonalizmem takiego twórcy chasydyzmu, jak reb Ber z Międzyrzecza, aniżeli z nauką ojców kościoła.

Jest rzeczą bardziej istotną dla socjologa określenie klimatu historycznego, w którym powstają irracjonalistyczne, mistyczne prądy myślowe i ruchy masowe. Należałoby raczej szukać ich źródła — i to zarówno jeśli chodzi o „mesjanizm“ Franka albo Cwi, jak i hitleryzm — w rozpaczliwych prądach zdeklasowanych elementów wyzyskanych przez reakcję. Możliwy wykreślić izotermę historyczną, dla wykazania kiedy rodzą się podobne ruchy rozpacz, na glebie jakich warstw społecznych i w jakim okresie przejmują je reakcja. Na nowoczesnym poziomie narodów europejskich są one reakcyjnymi ruchami fałszywego mesjanizmu, wszystko jedno, czy na ich czele stoi Sabbataj Cwi czy hitlerowski Obergau-leiter.

Temi uwagami należało poprzedzić replikę na istotne zagadnienia rewizjonizmu Millera, a więc ekonomikę narodową, sprawę żydowską i w końcu: sprawę okrzędną czy prostej drogi do socjalizmu.

Jerzy Borejsza

molotom na przebycie przestrzeni z Prus Wschodnich do Warszawy. Te same zegary można już dziś umieścić w C. O. Pie i obliczyć ile to czasu zużyją aeroplany „nieprzyjacielskie“ lecąc od południa, przełęcząc użoekiej albo dukielskiej. Lecąc przypuszczamy nie do C. O. P. u ale ku wschodnim „obszarom“ bliskim już tym przełęczom; ku nim bowiem zwróciła się po likwidacji Austrii i zwasalizowaniu Czechosłowacji cała siła ekspansji Niemiec, „odwróconych plecami“ umocnionymi linij Siegfrieda i paktem nieagresji do Francji, opartych na południu o „wieczny“ Brenner. Trzecia Rzesza przekreśla otwarcie kanonami „Mein Kampf“ sześćsetletnie parcie na zachód i południe, kupiecko-kolonialną politykę Hohenzollernów, wznawia wschodnie szlaki Gerona, Bismarcka, nawet socjalistycznych Hörsingów, restytuując przedwojenną linię Hamburg—Berlin—Bagdad. Idzie Dunajem, na który po „Anschlussie“ wypłynęła niemiecka flota wojenna, bałkańskimi podróżami Goeringa, Darrégo i Funka, za liczną jak na Słowację i Karpato-Ukrainę siecią konsulatów, daleko dłużej niż kurtuazja wymaga trwającymi przyjęciami dla misji niemieckich w Huszcie. „Volk ohne Raum“, lud bez ziemi, buduje sobie Mandżukuo; na polecenie Niemiec nazwę Karpato-Ukrainy przybiera kraj, którego ludność jeszcze w plebisycie szkolnym Hodży określiła się w 80% mianem „Rusini“, terytorjum liczące około 500000 mieszkańców, mniej aniżeli Łódź. A równocześnie nie kto inny jak tylko kontrahent paktu antykomunistycznego, sekretarz japońskiego poselstwa w Moskwie Katochoki, zjawiwszy się w oficjalnej misji w europejskim państwie Pu-Yi, wymieniając toast z premierem ks. Wołoszynem powiedział: „Pański kraj jest mały, ale jego przyszłość, jego cele są wielkie“. Nie są to bynajmniej cele Karpato-Ukrainy ale Trzeciej Rzeszy i to wydobyte z imperjalistycznego skarbcza niemieckiej przeszłości. Ujął je w klasyczne określenie generał Alfred Kraus, głównodowodzący austriackiej armii wschodniej, późniejszy gorący zwolennik Hitlera, w raporcie do szefa sztabu generalnego Arza, skierowanemu następnego dnia 13 czerwca 1918 r. do ministra spraw zagranicznych Buriana:

„Niemcy widzą w Ukrainie określony cel gospodarczy - polityczny. Chcą, jak to rotmistrz baron von Waldbott trafnie określił, zapewnić sobie najszybszą i najbardziej bezpieczną drogę do Mezopotamji i Arabji przez Baku i Persję. Taka możliwość jest szczególnie pociągająca dla Niemców teraz po obsadzeniu Ukrainy. Droga na Wschód idzie przez Kijów, Jekaterynosław i Sebatopol, gdzie rozpoczyna się morski szlak do Batum i Trapezuntu.

Według mego poglądu Niemcy zamysławiają dla osiągnięcia tego celu zamienić Krym w jakiegokolwiek formie na swoją kolonię. Nie puszczają oni nigdy z rąk cennego półwyspu krymskiego. Ażeby wyzyskać w pełni tę drogę muszą oni prócz tego wziąć w swe ręce węzły i połączenia kolejowe albo też uzależnić je od swoich wpływów; ponieważ jednak zaopatrywanie tych połączeń kolejowych i Morza Czarnego w węgiel niemiecki jest niemożliwe, muszą oni także wejść w posiadanie pełnych wielkiego znaczenia pokładów węgla w Zagłębiu Donieckim. To wszystko razem będzie zabezpieczać Niemcy w ten lub ów sposób.

Niemcy pragną wyzyskać Ukrainę jako swój spichrz zbożowy, dażą równocześnie do zapewnienia sobie w Ukrainie, posiadającej wysoką siłę nabywczą, dobrego obszaru zbytu dla swoich wyrobów przemysłowych. Te dążenia zostały potwierdzone przez otwarte oświadczenie generał-podporucznika Grönera (szefa niemieckiego naczelnego dowództwa) i jeśliby Anglja przeszkadzała Niemcom na zachodzie, niemieckie interesy zostaną skierowane przez Ukrainę i Krym ku Indjom.

Jest to jedyny wyjaśnienie dla zaciętości, z jaką Niemcy obstarają przy stanowisku, że nasze samodzielne wkroczenie na Ukrainę podważyłoby wszystkie układy“.

Akty niemieckiego i austriacko - węgierskiego dowództwa zostawione na terenie Rosji w gwałtownym odwrocie, opublikowane w 1936 r. w książce p. t. „Zusammenbruch der deutschen Okkupation in der Ukraine“, nie przyniosły rewelacji; potwierdziły tylko biblijne „prostowanie ścieżek“ na przyjęcie mesjasza z Obersalzberg.

To dogorywający drwal z Doorn, cesarz Wilhelm II podsunął arcyks. Ferdynandowi koncepcję Wielkiej Ukrainy dla jego synów, którzy jako dzieci poddanki hr. Chotek traciли prawo panowania po ojcu. Był to „podział wpływów“, Berlin miał iść regjonom nadbałtyckim, rosyjskim zaborem Polski, dom habsburski zaś na Besarabję i Ukrainę. Nad ich umocnieniem i nad wygranianiem szansy ukraińskiej, sabotującej neostawizm — reakcję na „allddeutsch“, pracuje w konsulacie niemieckim we Lwowie tajne biuro „Ostmarkenverein“-u, a depesza holdownicza wysłana w r. 1913 do Wilhelma II, z okazji 25 rocznicy wstąpienia na tron, jest tylko antycypacją historyczną wdzięcznych i tęsknych spojrzeń Ukraińców ku „wyzwalającemu“ ich historją pomonachijską mesjaszowi z Obersalzberg, tak jak antycypacją historyczną

1939 r. i nadchodzących lat była ofensywa niemiecko-austriacka wgląd Rosji w latach 1915 i 1917, szczególnie zaś rok 1917, rok pokoju w Brześciu Litewskim, otwierające drogę do ukraińskiej ziemi obiecanej, przysparzającej Rosji podówczas 40% wywozu zboża, 80% cukru, trzy czwarte produkcji węgla i żelaza, która mlekiem i miodem płynąca miała zapewnić niemiecko - austriackiej armji zwycięstwo. Ale z uderzeniem butów niemieckich żołnierzy w bruk Kijowa skończyła się niezależność Ukraińskiej Republiki Ludowej proklamowanej przez Wynyrczenkę i Petlurę. Ataman Symon Petlura został uwięziony, Rada Centralna mająca charakter socjalistyczno - demokratyczny rozprzedzona („auseinandergejagt“), Skoropadski, nie umiejący słowa po ukraińsku zostaje hetmanem niemieckim narodu ukraińskiego i trwa po listopad 1918, czas upadku protektora pod surowym dyktatem Clemenceau. Do władzy znów dochodzi Petlura, pośród krzyżujących się już na bezdrożach ukraińskich płomieni rewolucji. Mordujący go w sześć lat po wyprawie kijowskiej Schwarzbard usuwał możliwości regeneracyjne dziejów, rozładowywał uporczywie skojarzenia, podczas gdy historia jej idei i idea jej historii przygasła już coraz głębiej, szły w pośmiertne akta.

Skoropadski żyje jeszcze w Berlinie; żyje w mrokach karpackich dróg Smetka, w planach niemieckiego sztabu generalnego, w aksjomacie apostoła polityki wschodniej Trzeciej Rzeszy Alfreda Rosenberga o granicy niemiecko-ukraińskiej. Z zapomogi niemieckiego ministerstwa wojny ukazała się publikacja dr. Nowaka „Sztuczny twór państwowy, wschodni problem Czechosłowacji“, w której autor „wyjaśnił“ militarno - polityczne znaczenie Słowaczyny i Rusi Zakarpackiej dla Niemiec, a „Deutsche Wehr“, organ niemieckiego sztabu generalnego, omawiając wyczerpująco tę książkę napisał, że „Słowacja i Karpato - Ukraina to newralgiczne punkty wielkiej doniosłości“; recenzent zwrócił przytem uwagę niemieckim uczonym na silne „związanie tych ziem z historją i dolą narodu niemieckiego“ oraz na brak zaciekania nauki niemieckiej dla owych krajów, a wkrótce radiostacje niemieckie poczęły polecać ją oficerom Reichswehry. Korespondent „Gazety Polskiej“ nie może przez kilka dni rozmówić się z szefem propagandy Karpato - Ukrainy dr. Komaryńskim, gdyż ten prawie stale bawi w Berlinie, na defiladzie starszyna „siczowa“ jedzie przez Huszt autem opatrzonym niemieckimi tablicami rejestracyjnymi, młodzież zaś udaje się z oficjalną wizytą do „Hitlerjugend“. Wznaga się naskutek takiej konfiguracji i takiego tła wydarzeń ferment na marginesach problemu polsko - ukraińskiego; pęcznią one 64 miljonowym deficytem w saldzie niemieckiego bilansu handlowego jeszcze za przedsudecki sierpień ub. r., podnoszącami znacznie potencjał przemysłowy Rzeszy Sudetami, pustą po ucieczce turystów niezgodną wyżycie się Austrią. Na propagandowych, jeszcze w 1935 r. wydanych, mapach „Grossdeutschland“-u Śląsk i Pomorze leżą w obrębie terytorjów niemieckich, chyba tylko prolongacja uległa sprawa Klajpedy, której „Anschluss“ ma zwasalizować także Litwę: wówczas żelazne obcegi będą miały jedną tylko lukę — granicę sowiecką.

SPRAWA POLSKO - UKRAIŃSKA

Dziwne były paradoksy współzycia polsko - ukraińskiego. Piszze Tomkiewicz, że „kiedy nad Dnieprem polscy chłopomani pierwsi podjęli sprawę ukraińską, a po wstańczy Rząd Narodowy wydał odezwę do „braci Rusinów“, budzący się równocześnie w rękach austriackich ukraiński ruch narodowy zwraca się przeciwko Polakom; kiedy we Lwowie powstaje partja moskwofilska, Borys Hrinzenko woła nad Dnieprem, że Ukraińcy z Lachami muszą się pogodzić, by razem iść na wspólnego wroga; kiedy młodzież ukraińska znieważała w Kijowie pomnik Chmielnickiego za to, że zaprzedał się Rosji, galicyjscy nacjonałści ukraińscy dążyli do wytopienia polskości w Małopolsce Wschodniej nawet kosztem zapanowania niemieczyzny; kiedy Ukraińcy galicyjscy walczyli z Polakami na ulicach Lwowa i w Małopolsce Wschodniej, Piłsudski zawierał przymierze z Petlurą a Polska polskie stały u bram Kijowa“. Tymczasem na wiecach robotniczych w Charkowie Rakowski porównywał odezwy niemieckich oswobodzicieli — Klausiusa i von der Goltza z r. 1918 — z odezwą dowództwa wojsk polskich wkraczających na Ukrainę w r. 1920 i wykazywał, że w formułowaniu zapewnień o „pomocy i opiece“ nad powstającą Ukrainą niema żadnej różnicy, zestawiał holdownicze wyrazy wysłane przez Radę Centralną do cesarza Wilhelma po wkroczeniu „wyzwalających“ wojsk niemieckich z manifestem prezydenta Lewickiego, witającego armję polską. Condominium polsko-petlurowskie nie uznano zaprowadzonych przez rewolucję reform rolnych, szczególnie wywłaszczenia wielkich majątków ziemskich. Tędy pada światło wyjaśniające paradoksy Tomkiewicza i upadek koncepcji kijowskiej; przez pamiętniki federalisty Hołówki i zapiski księdza Marjana Tokarzewskiego.

Wspomnienia Hołówki „Przez dwa fronty“ przynoszą podglebie, na którym musiała paść wyprawa kijowska. „Podczas gdy odbywał się proces dziejowy likwidacji wielkiej własności polskiej, tylko w tym zakątku i kilku innych dawny stan posiadania był sztucznie podtrzymywany przy pomocy garści żołnierzy polskich, którzy z bronią w ręku stali na straży majątków polskich magnatów na Rusi. Czuję żal i niesmak do tych żołnierzy, którzy z wielkiej idei armji polskiej uczynili parodję, wskrzeszając smutne tradycje prywatnych wojsk królewskich kresowych“. O pałacu Józefa Potockiego, w którym powszednio były rozmowy o wyrokach na chłopów i palonych chałupach, pisze ksiądz Tokarzewski, że „znane w całej Polsce stajnie wyścigowe imponowały każdemu, nawet stryjeczny brat cara Mikołaja II, książe Borys zachwycał się niemi... I dalej: „Prasa polska ledwo wegetowała dla braku środków... Większość panów magnatów zbywała swoje obowiązki trzyrubłówkami, a drudzy marnowali majątki na zbytki, życie nad stan, hulankę i karty... Jeden, który miał u siebie zbytkowne obrzynie sale z urządzeniami gimnastycznymi wyłącznie tylko dla siebie i sprowadzał profesorów z Anglji, którzy tylko jego jednego uczyli boksu, drugi, który trzymał kilkaset psów myśliwskich i dwóch psich-mistrzów Francuzów, stale narzekali na ciężkie czasy...“

Te dwa pamiętniki dają świadectwo, że idei Piłsudskiego i Petlury brakło gruntu na 40% całej własności ziemskiej, które stanowiła wielka własność polska, załamała ją restytucja „polskiego stanu posiadania“ na Ukrainie prawobrzeżnej.

Na sprawie ukraińskiej w Polsce zaciążył impas wynikły ze starcia koncepcji Piłsudskiego z myślą Dmowskiego. W jego atmosferze jeszcze w ostatnich latach znalazło się miejsce na tezy Giertycha o „dobrym ruskim ludzie“ i „klicie agitatorów ukraińskich“, na argument, że ktoś ciągle nazywany Ukraińcem musi w końcu uwierzyć, że nim jest. Obok wyjałowienia myśli politycznej obozu „narodowego“ i niemocy obronnej piłsudczyków poszły strusie ścieżki lewicy i demokracji polskiej, swoista taktyka Frontu Morges, „odraczająca“ doniosłe decyzje do czasu objęcia władzy. Możliwość „załatwienia“ sprawy ukraińskiej spoczywała przez długi czas tuż obok jej bezwładnych programów rąk. Choćby dlatego, że w pacyfikacji i wyborach 1930 r. padła ostatecznie koncepcja asymilacyjna, że myśl Piłsudskiego i Petlury żyła już tylko dogasającym odbłaskiem ożreżnej historii, że tamte stosowane już rozwiązania nie zdąży egzaminu pod strzechami Ziemi Czerwieńskiej, na szlakach lwowsko-kijowskich. Od 1931 r. żaden z zasadniczych członów dzisiejszej demokracji polskiej nie zdobył się w stosunku do problemu ukraińskiego na program, ideę, myśl konstrukcyjną. Obrona „status quo“, obłożna deklamacja o „braterskiej miłości“ i „rozwoju kulturalnym“ muszą przegrać z każdą (nawet) brechtą programową, wnoszącą aktywną linię i jednolity kierunek.

Przez siedem lat wychodził w Warszawie tygodnik „Biuletyn Polsko-Ukraiński“, propagujący zbliżenie polsko - ukraińskie, szerzący petlurostwo, kijowski kierunek rozwiązywania sprawy, Scyllę i Charybde niedyskusyjności przynależności terytorjalnej ziem wschodnich przy „odbudowie niepodległej Ukrainy nadnieprzańskiej“, od czterech zaś lat pojawia się dwutygodnik „Myśl Polska“ o orjentacji wybitnie antysowieckiej, zadawnionej antyrosyjskiej. „Biuletyn“ powołała do życia śmierć Hołówki a pogrzebało stworzenie Karpato-Ukrainy, bo nie można nazwać inaczej jego przejścia na miesięcznik „Problemy Europy Wschodniej“, zawrócenie z „drogi apelowania do masy, do umiaru i rozumu licznej rzeszy odbiorców, która sądząc po obecnej fazie stosunków polsko-ukraińskich nie dała skutków“. „Myśl Polska“ przyniosła zaś niemal po raz pierwszy artykuł, zwołowy, „Trzecia Rzesza grozi...“ i jeszcze jeden „niemiecki“ wewnątrz numeru; tam przyznaje się, że doły, masyw jednego i drugiego narodu jest w aktualnej sytuacji obcy, głuchy na rozsadek polityki „zgody“, tu po czterolatniem „Piotrowem“ zaparciu się maskowane spokojem a niespokojne obwieszczenie, że na zachodzie i już na południu mamy także sąsiada, nietylko „przyjaciela“ i nietylko „państwo zaprzyjaźnione“.

Wraz z występowaniem robotników ukraińskich ze wspólnych dotychczas polsko-ukraińskich związków zawodowych, których klasowa postawa najdłużej opierała się wiatrom wiejącym od Husztu, są to znaki czasu nieomal takie, jakie ukazywały się na niebie w sienkiewiczowskim roku 1648, dziwnym roku, kiedyto sprawa ukraińska, jak powiada Ksawery Pruszyński, „szła w ręce ludzi małych, jakichś tam Czaplinski“ i kiedy przegrywałam ją w wielkim stylu po raz pierwszy. Są to znaki czasu, w którym b. oficer austriacki metropolita Szeptycki śle ze wzgórza świętojurskiego błogosławieństwa dla premiera ks. Wołoszyna, w którym przez Czechosłowację idą nietylko autostrady niemieckie ale i żądania Hitlera oddania mu do dyspozycji 10 dywizji armji czeskiej, sojuszu wojskowego i unji monetarnej, czasu pomonachijskie-

ZYGMUNT JAROSZ

MARXIZM A DETERMINIZM

I

W artykule Pawła Konrada (por. „Sygnały“, nr. 61) nasuwającym wogóle bardzo wiele wątpliwości, znalazło się m. inn. zdanie, które stanowi klasyczny przykład przeszarżowania. Autor zdobył się na dość osłupiającą tezę, że „materjalizm dialektyczny nie obawia się upadku prawa przyczynowości, ponieważ nie bronil on nigdy tego prawa“.

Już powierzchowna znajomość marxizmu wystarcza, aby stwierdzić, że to twierdzenie P. Konrada nie ma nic wspólnego z prawdą. I gdyby nasz rewelacjonista zechciał istotnie przeczytać cytowany przez siebie „Materjalizm i empirjokrytycyzm“ np. do str. 126 wydania z roku 1931), przekonałby się jak ściśle jest związany z determinizmem marksowski pogląd na świat. Mógłby tam poznać ciekawy fragmencik z Feuerbacha oraz (str. 127) opinię autora „Materjalizmu i empirjokrytycyzmu“, że „odrzucając obiektywnej prawidłowości, przyczynowości i konieczności w przyrodzie Feuerbach sprawiedliwie przypisuje kierunkowi fideizmu“. Mógłby także P. Konrad przekonać się, że przytoczona przezeń za Labérennem cytata z „Anti-Dühringa“ oznacza jedynie, iż „ludzkie pojęcie przyczyn i skutku zawsze nieco upraszcza obiektywny związek zjawisk przyrody, tylko w przybliżeniu go odzwierciedlając, sztucznie izolując te lub inne strony jednego jedyne światowego procesu“ (str. 128). Ernst Mach pisał w „Die Mechanik in ihrer Entwicklung historisch-kritisch dargestellt“ (3 Auflage, Leipzig, 1897 r., str. 474), że „w przyrodzie niema ani przyczyny ani skutku“. I temu twierdzeniu najostrej przeciwstawia się autor „Materjalizmu i empirjokrytycyzmu“ (str. 130).

Nie podobna zrozumieć, jakim cudem P. Konrad z faktu, że „przyczyny i skutki nieustannie zmieniają swoje miejsca“ wysnuł wniosek o niestwierdzeniu przyczynowości. Pozostanie to zapewne nazawsze jego tajemnicą. Co innego wzajemne oddziaływanie na siebie przyczyny i skutku (doskonałe niemieckie słowo: Wechselwirkung), co innego zaś obiektywny determinizm zjawisk tego świata.

Temu obiektywnemu determinizmowi przeciwstawił się Mach. „Prócz logicznej (podkreśl. Macha) niema żadnej innej, (np. fizycznej), konieczności“ pisał on w „Die Prinzipien der Wärmelehre“ (2 Aufl., 1900, str. 437). „Wielokrotnie wyjaśniałem, że wszystkie formy prawa przyczynowości wypływają z naszych subiektywnych (podkreśl. moje, Z. J.) dążeń (Triebem); dla przyrody nie istnieje konieczność odpowiadania im“. („D. Mechanik.“, str. 495).

A pokrewny Machowi duchem Richard Avenarius nauczał:

„O ile wyobrażenie o przyczynowości wymaga siły i konieczności, czy przymusu, jako integralnych części składowych dla określenia skutku, o tyle upada on razem z nimi“. Bowiem: „Nie doświadczając siły, jako czegoś wywołującego ruch, nie doświadczamy konieczności jakiegokolwiek ruchu... Wszystko, co doświadczamy, to fakt, że jedno następuje po drugim“. Nietrudno dostrzec, że natchnieniem empirjokrytyków w ich poglądach na przyczynowość była krytyczna i agnostyczna filozofia Davida Hume'a. Przyznawali się oni zresztą otwarci do tego rodowodu. Podobnie myślał o przyczynowości Bucharin, który twierdził w swej „Teorii materjalizmu historycznego“ (wstydlwym petitem):

„Jeśli się mówi, że „prawo panuje“ lub „prawo rządzi“, to nigdy nie należy tego tak rozumieć, że oprócz dwóch zjawisk (przyczyny i skutku) w pierwszym zjawisku siedzi ktoś trzeci, jakiś małutki i niewidzialny bożek, trzymający cugle w rękach. Związek przyczynowy jest tylko stale spostrzeganym (podkreśl. moje, Z. J.) związkiem pomiędzy zjawiskami — i niczem więcej“.

Naturalnie, takie subiektywistyczne traktowanie przyczynowości pozostaje w niezgodzie z elementarną tezą marxizmu o odzwierciedlaniu się praw przyrody w myślącym mózgu. Bliższy marxizmowi od Bu-

charina jest na tym odcinku stary, poczciwy, mieszczański profesor: Wilhelm Jerusalem. W swym „Wstępie do filozofii“ pisze on:

„W nowych czasach filozofowie często rozmaitemi drogami wracają do Hume'a i twierdzą wraz z nim, że możemy doświadczać zawsze tylko następności zdarzeń, ale nigdy ich powiązania przyczynowego. Wbrew temu zaznaczamy, że czysta następność różni się wyraźnie od związku przyczynowego.“

Pomiędzy zdarzeniami, regularnie następującymi po sobie, oprócz następności w czasie, zachodzi nadto związek wewnętrzny, który wydaje się nam podobny do związku, jakiego codziennie doświadczamy w postępowaniu dowolnym pomiędzy bodźcem woli a skurczem mięśni. Gdzie związek ten stwierdzamy lub domyślamy się go z uzasadnieniem, tam stwierdzamy również związek przyczynowy, gdzie go zaś brak, tam może być mowa tylko o następności w czasie. Kiedy wielką wojnę poprzedza pojawienie się komety, umysł nasz, kierujący się doświadczeniem, nie może komety rozważać jako ośrodka siły, którego objawem jest wojna. Kiedy zaś, przeciwnie, następstwem dawki chininy bywa zmniejszenie się ciepłoty ciała chorego, mamy prawo przyjmować na podstawie powtarzających się doświadczeń, że dana mu chinina wywołała sprawę fizjologiczną, która w przebiegu swoim sprowadza obniżenie się ciepłoty“.

A więc:

1) marxiści (dialektyczni materjaliści), wychodząc ze swych założeń o istnieniu zewnętrznego świata, niezależnego od ludzkiej świadomości, i o „zwierciadlanej“ funkcji naszych mózgów w stosunku do przyrody, stwierdzają istnienie obiektywnej przyczynowości w naturze;

2) humeiści (agnostyczni idealści), zakładając u podstaw swej filozofii „czysty“ akt doświadczenia, konkludują, że człowiek stwierdzić może jedynie następność w czasie, a nie wewnętrzną więź przyczynową obserwowanych zjawisk, że tedy przypisywanie naturze obiektywnej przyczynowości jest czczym wymysłem.

II

Rozróżniliśmy dwie koncepcje przyczynowości: obiektywną, dialektyczno-materjalistyczną i subiektywną, agnostyczno-idealistyczną. Niezależnie od tego możemy rozróżnić dwie formy przyczynowości: mechanistyczną, prostą i dialektyczną, uwzględniającą wzajemne oddziaływanie przyczyny i skutku (Wechselwirkung, wzajemność). W ogniu dyskusji znajduje się dziś przedewszystkiem nowa odmiana koncepcji agnostycznej: indeterminizm fizyczny. Opiera się on na t. zw. zasadzie nieokreśloności (Ungenauigkeitsrelation, dosłownie: stosunek niepewności) Heisenberga. Uczony ten wykazał ponad wszelką wątpliwość, że niemożliwe jest jednocześnie i jednakowo dokładne określenie położenia i pędu elektronu. Elektron, mianowicie, może być widziany przy pomocy mikroskopu wtedy tylko, gdy zostanie odpowiednio oświetlony. Jego położenie może być oznaczone z dokładnością, nie przekraczającą długości fali promieni, użytych do oświetlenia. Im krótsza jest więc ta fala, tem większa jest ścisłość pomiaru. Ale jednocześnie: tem większa jest energia kwantów owego promienia, tem większą wywołuje ona zmianę w pędzie elektronu. I naodwrot: oświetlenie elektronu przy pomocy możliwie najdłuższych promieni daje maksymalną dokładność pomiaru pędu, lecz zato zwiększa niedokładność oznaczenia położenia.

Stąd wniosek, że nieoznaczoność w skali mikrofizycznej ma charakter zasadniczy, wynika bowiem z samej konstrukcji przyrody i nie może być zmniejszona z postępem techniki badań doświadczalnych. Ale wszakże stan elektronu nieoznaczony (nieokreślony) ściśle przez subiektywnego obserwatora nie przestaje tem samym być najściślej wyznaczony (zeterminowany) przez obiektywny stan wcześniejszy tegoż rzeczywistego elektronu. Determinizm nie obsta je przy nieograniczoności naszych władz poznawczych, aczkolwiek nie przewiduje żadnych granic dla postępów nauki. Determinizm broni jedynie istnienia obiektywnej prawidłowości przyrodzonej, niezależnej od tego, w jakim stopniu jest dostępna naszemu poznaniu.

„Właśnie wzajemne oddziaływanie pomiędzy procesem mierzenia (Messungsvorgang) a procesem mierzonym (realer Vorgang) są temi, które stosunek niepewności (Ungenauigkeitsbeziehung) czynią conajmniej do pewnego stopnia przyczynowo zrozumiałym“ — pisze Planck („D. Physik im Kampf um d. Weltanschauung“, 2 Aufl., str. 18). „...Myśl, że z czasem uda się jednak niepewność pomiarów fizycznych zmniejszyć nieograniczenie przez ulepszenie instrumentów pomiarowych, musimy odrzucić jako bezsensowną. Ale właśnie egzystencja tego rodzaju obiektywnej granicy, jaka jest ustanawiana przez elementarny kwant działania, musi być oceniona jako znak panowania pewnej nowej prawidłowości...“ (str. 19).

Tak więc prawidłowość i konieczność

przyczynowa nie została bynajmniej przez zdobycze fizyki współczesnej poderwana. I nigdy nie przestanie być najważniejszym zadaniem nauki udzielanie odpowiedzi na najprostsze pytanie: „dlaczego?“ Pytanie, które tak przerażało niektórych mistyków m. inn. Mickiewicza w najsmutniejszym okresie jego życia („Pierwsza mowa szatana do rodu ludzkiego, zaczęła się najskromniej od słowa: dlaczego?“). Planck pisze: „...zasada przyczynowości... jest to... drogowskaz, i to mojem zdaniem najcenniejszy, jaki posiadamy dla orientacji w pstrym kolowrocie zjawisk. Wskazuje on nam kierunek, w którym płodne badanie naukowe musi kroczyć. Zasada przyczynowości opowiada budzącą się zaledwie duszę dziecka i ciśnie mu na usta niestrudzone „dlaczego“; towarzyszy uczonemu przez całe jego życie i przynosi mu ciągle nowe zagadnienia. Albowiem nauka to nie spoczynek na wygodnym łożu zdobytej wiedzy — to niezamordowana praca i wiecznie naprzód kroczący postęp.“ („Pojęcia przyczyny w fizyce“ w zbiorku „Mathesis Polskiej“ p. t. „Zagadnienia współczesnej nauki“).

Z powyższych słów Plancka wynika, że uczony, który jest nawet indeterministą w teorii, musi postępować jak determinista w praktyce swych badań. I to nietylko uczony przyrodnik czy matematyk, ale również humanista. Ludzkość, społeczeństwo, są przecież produktami przyrody. Postęp nauk społecznych polega także na wykrywaniu odpowiednich związków przyczynowych. I trudno o większe prostactwo, niż utożsamianie determinizmu historycznego z fatalizmem. Determinizm nie twierdzi bynajmniej, że co ma się stać, to i tak się stanie, że wszelkie działanie, zmierzające do osiągnięcia jakiegoś celu, jest zbyteczne,

HENRYK BALK

SAY IT WITH MUSIC

kiedy płacz wiolonczeli
zaścieli zmierzchem wodę
wyrośnie z chłodnej kąpeli
ciemno zielony oddech

wyplynie z bladego dna
kruchy zielony kwiat
stłucze go płacz wiolonczeli
w srebrnych trzcinach i łzach

a potem zmierzch się rozdzieli
na światło, smutek i strach
zamilknie płacz wiolonczeli
szklanem westchnieniem: ach

ŚPIEW

pozostał samotny śpiew
drżał cicho nad gniewem miastem
opływał wysepki kawiarnianych stołów
z aniołem nie rozmawiał
nikogo nie wołał

rósł w katedrze dwunastej godziny
stawał przed obcym pacierzem drzew
śpiewał: komu przemienie?

wpatrzony w studnię księżycy
odbijał srebrny strach
blademi słowami w milczeniu krzychał
z dna

kto wydobędzie ze studni
zwłoki księżycy i gwiazd?
ludzie nie są okrutni
przemienie czas

STANISŁAW JERZY LEC

W PODRÓŻ

I

Jutro dotkniesz, że ziemia kulą
gwiazdą szumiącą wkrąg.
Oddychającej jak dziękczynny hymn
Tobie gwiazdę przewodnią wplotę
róży wiatrów rozkwitły pąk.

Wszepnij mi okrzyk zachwyty w usta
obierając z lasów — słońca kosmaty ananas!

Patrz ile oczu wdrapuje się na nas.
Nadzianych głęboko na trójząb Neptuna
powoli zeżre tęsknota?

II

Nie wiem, żono maleńka, czy niebu upadł
[nies do nóg
czy stopy boże zobaczysz kroczące po falach.

Słuchaj jak morze granitem wychwała
że tędy żył — James Cook.

skoro to, czy ten cel będzie, czy też nie będzie osiągnięty, zostało i tak wyznaczone od wieków. Dla odróżnienia determinizmu od fatalizmu nie trzeba jednak studiować długiej pracy P. Konrada. Wystarczy przeczytać trzy ostatnie zdania z bardzo dobrego artykułu doc. dr. Diny Szejnberg w encyklopedji „Świat i Życie“ (t. II, szpalta 959). Piszcie ona:

„Łatwo dostrzec, że rozumowanie to („co ma się stać, to i tak się stanie“, przyp. mój, Z. J.) opiera się nietylko na tezie determinizmu (głoszącej, że każde zdarzenie jest wyznaczone przez pewne zdarzenia wcześniejsze na mocy praw przyrodzonych), ale również na dodatkowym założeniu, że do faktów, wyznaczających bieg zdarzeń w przyrodzie, nie mogą należeć ludzkie czynności, które nie mają tem samym wpływu na nic, co się dzieje z nami lub w otaczającym nas świecie. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że założenie to, charakterystyczne właśnie dla fatalizmu, nie wynika bynajmniej z doktryny deterministycznej i nie obowiązuje żadnego z jej wyznawców. Wbrew pozorom, być może, fatalizm nie jest konsekwencją determinizmu“.

Z wyjątkiem nazbyt ostrożnego „być może“ w ostatnim zdaniu nie można nie zarzucić temu króciutkiemu wyjaśnieniu warszawskiej filozofki. Przyczynowość, prawidłowość i konieczność funkcjonują w naturze i społeczeństwie tak samo dziś, w epoce teorii względności, jak i ongiś, w epoce kamienia gładzonego. Wszystko mija. Tylko przyczynowość trwa. Jako podstawa wszelkiego przemijania. Najzagorzalszych indeterministów straszy czasem duch determinizmu. „Jeśli przyczynowości niema, to jakże wogóle cośkolwiek dźiać się może?“ pyta sir James Hopwood Jeans swej duszy zdumionej (w „Nowym świecie fizyki“). Istotnie! „Bez dialektyki nie zrobisz kroku“ (Szeplińska). Bez przyczynowości nie zrobisz kroku. „Tak kręci się światek“ (Voltaire). Czy mogłoby się kręcić inaczej? Tylko cudem. Ale przecież „największym cudem przyrody jest to, że niema w niej cudów“ (Poincaré).

* * *

W poprzednim (61) numerze „Sygnałów“ z dnia 15 stycznia: Przemysław Brzeski: Tryumf i klęska Romana Dmowskiego. — Paweł Konrad: Materjalizm dialektyczny i kompleks materji. — Paweł Hulka-Laskowski: Sergjusz Piasecki. — Konstanty Anselm: Słoneczna wizja Le Corbusiera. — Bolesław Dudziński: Kościół, kler i wieś. — Stanisław Nawrot: O pornografii i o „Zmorach“. — Jerzy Putrament: Wśród nowych powieści. — Dwie konfiskaty „Sygnałów“. — Korespondencja (Jan Karin, Jerzy Putrament, Henryk Małecki, Józef Gernrejt). — Zygmunt Jarosz: Pedagogika. — Leon Strakun i Debora Vogel: Nowe wystawy. — Oblicze dnia. — 13 ilustracyj. 8 stron.

„Sygnały“ rozszerzają znacznie dział recenzyjny i sprawozdawczy.

Prosimy wydawców i autorów o nadsyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach oraz o podawanie nam ich cen księgarskich.

Recenzje będziemy zamieszczali jedynie z wydawnictw, nadesłanych pod adresem redakcji „Sygnałów“.

NADZIEJA ZAWSZE SZCZĘŚLIWA

Zł. 75.000 na nr. 155227

Zł. 50.000 na nr. 65603

Zł. 25.000 na nr. 129629

Zł. 20.000 na nr. 84032

oraz wiele wygranych po

Zł. 10.000

padło na losy zakupione w niezmiennie szczęśliwej kolekturze

„NADZIEJA“
LWÓW, LEGIONÓW 11

SZCZĘŚLIWE LOSY KL. I.
SĄ JUŻ DONABYCIA

go, kiedyto jak podaje imperjalistyczne „Słowo“ wileńskie (z dnia 1. I. 1939 r.) minister Józef Beck wysiadł z apozno z niemieckiego tramwaju. „Już wtedy, kiedy Austria nie istnieje, Czechosłowacja jest wasalem niemieckim, pozycja Francji na wschodzie nie istnieje, znaczenie polityczne Sowietów przez nas samych doszczętnie zostało skompromitowane przez wykazanie ich nicności podczas dwóch konfliktów, kiedy Niemcy organizują Ruś Karpacką, kiedy zwracają Węgry przeciw Rumunji, są niemal dyktatorem w środkowej Europie... Min. Beck wysiadł z tramwaju, albo zbyt wcześnie, albo zbyt późno. Marsz. Piłsudski wysiadł ze swego tramwaju (socjalistycznego — p. m.) na przystanku, na którym było napisano „niepodległość“, min. Beck na przystanku, na którym jest napisano „przegrana“. Cat“.

Franciszek Gil

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Z ZAGADNIENIŃ MOCARSTWOWYCH

Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Paryżu, Juljusz Łukasiewicz, opublikował niewielką książeczkę p. t. „Polska jest mocarstwem¹⁾”, zawierającą przegląd działań i osiągnięć naszej polityki zagranicznej, w okresie 1918—1938. Autor — jak przystało na dyplomata w czynnej służbie — ocenia wyniki polskiej polityki zagranicznej bardzo optymistycznie i entuzjastycznie, podkreślając wielką bezsprzecznie rolę Piłsudskiego, jako fundatora jej zasad i zrębów, jako twórcy dalekosiężnych wskazań, których realizacją jest treścią działania obecnych kierowników spraw polskich na terenie międzynarodowym.

Z rozmaitych — a całkiem zrozumiałych — względów nie zamierzamy tu wchodzić w dyskusję co do poszczególnych zagadnień naszej polityki zagranicznej, nie będziemy też wchodzić w jej całość polityczną, nie będziemy też wchodzić w jej bilans polityczny, nie będziemy też wchodzić w jej ocenę — zawiłe, a niewygodne i przedyskutowanie zajęłoby — w najpomysłniejszych nawet dla bezstronnej analizy warunkach — bardzo wiele czasu i miejsca. Możemy sobie natomiast pozwolić na krótkie omówienie pewnych, najbardziej charakterystycznych momentów broszury Łukasiewicza, na przytoczenie zawartych w niej wniosków, na stwierdzenie widocznych luk i braków. Otrzymany w ten sposób materiał stanie się częścią składową ogólniejszych rozważań, których przedmiotem ma być zagadnienie mocarstwowości Polski.

Główne zasady testamentu Piłsudskiego w dziedzinie polityki zagranicznej streszcza Łukasiewicz w trzech punktach: „1) siła własna, jako konieczny punkt wyjścia wszelkiej akcji państwowej i warunek jej samodzielności; 2) dobre stosunki z sąsiadami, oparte na zasadzie ścisłej wzajemności i poszanowaniu równego prawa do wolności, oraz bliższa współpraca z państwami geopolitycznego rejonu, w którym leży Polska; 3) sojusze jako współczynnik bezpieczeństwa i oparcia dla szerszej pracy nad utrzymaniem i utrwaleniem pokoju”.

Są to, oczywiście, prawdy bezsporne — i nie znajdzie się chyba Polak, który słusność i zasadność tych prawd zechciałby kwestjonować. Takie kanony podstawowe mają jednak zwykle — bo inaczej być nie może — charakter ogólny, co następcza najrozmaitsze i bardzo rozległe możliwości interpretacyjne. Te możliwości, rzutowane na grunt działania praktycznego prowadzą do różnych konsekwencji, nawet do zwichnięcia równowagi między trzema wymienionymi zasadami na szkodę jednej — albo i dwóch — spośród nich.

Łukasiewicz bardzo pozytywnie ocenia pakt o nieagresji zawarte przez Polskę z Z. S. R. R. i Niemcami, deklarując się wogóle jako zwolennik układów dwustronnych a przeciwnik „mętnych haseł kolektywnego bezpieczeństwa i pokoju niepodzielonego”... Taka deklaracja pozostaje w zupełnej zgodzie z oficjalną linią polskiej polityki zagranicznej, podobnie jak zgodne z tą linią jest twierdzenie, że co do stosunków polsko-niemieckich „ubiegłe czterolecie pozwala skonstatować znaczny postęp i mieć dobre nadzieje na przyszłość”... Szkoda jednak, że autor omawianej tu publikacji nie zechciał uwzględnić szerszej całości stosunków polsko-niemieckich w dobie trwania paktu z 1934 r., że pominął milczeniem tak doniosłe elementy tych stosunków, jak kwestia Gdańska, sytuacja mniejszości polskiej w Niemczech i wreszcie nowy stan rzeczy, wytworzony na południowej naszej granicy po katastrofie Republiki Czechosłowackiej. To pominięcie świeci wielką luką w całości wywodów Łukasiewicza i nadaje im charakter raczej publicystyczny niż historyczny.

Autor broszury nie ujawnia swego stosunku do nowego, uzależnionego politycznie od Berlina, państwa czesko-słowackiego, Czechosłowacji dawnej sympatją swą jednak nie darzy, nazywając Masaryka i Benesa bardzo kategorię politykami, którzy byli nie tyle „w służbie sprawy własnego narodu, co moskiewskiego panslawizmu imperjalistycznego”... Nicco dalej polityka Pragi z okresu przedrozbiorowego scharakteryzowana została jako symbioza „imperjalistycznego panslawizmu moskiewskiego, kominternu, masonerii i t. p. twórców „gasnącego świata”, wśród których nie brakło emigrantów politycznych polskich”. Historia, niewątpliwie, odsoni w swoim czasie dziwne i niespodziewane aspekty tej „symbiozy”... Ale co do „emigrantów polskich”, rzucano pod ich adresem ciężkie oskarżenia — i żałować głęboko wypada, że — z pominięciem istniejących w tym względzie zwyczajów — nie sprecyzowano dokładnie zarzutów co do personalnej i merytorycznej ich strony.

Te zastrzeżenia nie osłabiają jednak powagi i doniosłości tych zapewnień ambasadora Łukasiewicza, które chętnie przyjmujemy za wyraz urzędowych i obowiązujących tendencji polskiej polityki zagranicznej. Bardzo cenne jest stwierdzenie, że „próby rządzenia Europą przez tę czy inną grupę mocarstw są zgóry skazane na niepowodzenie i, jeśli przyjdą, będą równie jak dotychczas bezskuteczne”, — z niemielszym aplauzem oceniamy przyganę dla tych poli-

tyków, którzy sądzą, że „w polityce moralności niema i nie jest ona potrzebna”... Niestety, szeregi tych amoralnych polityków rosła wciąż i potężnieją, co świadczy niezbicie o nieskuteczności przygan słownych, a zarazem o nieodzownej potrzebie innych, bardziej realnych wystąpień.

A teraz — wnioski autora. „Historja narodu naszego — pisze Łukasiewicz — na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza jest nieustannym szeregiem zwycięstw... Polska jest mocarstwem, stanowiącym kamień węgielny dzisiejszej struktury wschodniej i środkowej Europy... Losy współczesnej Europy zależą od polityki Polski w nie mniejszym stopniu, niż od polityki innych mocarstw”. Słowem — „Polska jest mocarstwem”, jak brzmi tytuł publikacji.

Oczywiście, nikt z nas nie wątpi o mocarstwowym potencjale Polski i niema Polaka, któryby tej potęgi mocarstwowej dla Polski nie pragnął. Nie kwestjonując w żadnej mierze zasadności polskich uprawnień, możliwości i ambicji w tym kierunku, trzeba jednak stwierdzić, że w nomenklaturze dyplomatycznej „mocarstwowość” ma różne znaczenia i że termin ten bywa niekiedy raczej wyrazem — kurtuazji, niż odpowiednikiem rzeczywistego układu sił i stosunków danego „mocarstwa”. Chodzi o to, że aktywność i sukcesy polityki zagranicznej nie tworzą jeszcze bynajmniej definicji „mocarstwowości”, są bowiem tej definicji tylko jednym składnikiem. Polityka zagraniczna — to element ważny, bardzo ważny, ale nie jedyny — i dlatego „mocarstwowość” na nim tylko oparta miałaby zbyt wąskie i kruche podstawy. Mocarstwowość prawdziwa, niekwestjonowana — to coś znacznie więcej, niż dobra, celowa i owocna polityka zagraniczna; to w równej mierze — spokojny i twórczy byt wewnętrzny, na rozumnych i sprawiedliwych zasadach ustrojowych oparty, to — wolność i dobrobyt wszystkich obywateli, to — rozwój i postęp kultury, promieniującej szeroko i atrakcyjnie. Dopiero suma tych wszystkich elementów państwowego istnienia stwarza potęgę mocarstwowości, zapewnia we wszystkich dzie-

dzinach wpływ i znaczenie, prowadzi naród i państwo na szlaki wielkiego, dziejowego rozwoju. Są to, właściwie truzimy, zbyt często jednak zapoznawane i niedoceniane.

Z nieodpartą siłą wypłynęły one na powierzchnię mej świadomości, gdy — dzięki usłudze przypadkowej — bezpośrednio po lekturze broszury Łukasiewicza wzięłem do ręki zbiór artykułów Włodzimierza Bączkowskiego, jednego z członków redakcyjnego zespołu „Myśli Polskiej”²⁾. Wydawnictwo to — jak wiadomo — reprezentuje już nietylko mocarstwowość, lecz poprostu imperjalizm polski; „prometejskie” koncepcje tego zespołu polegają na planach rozczłonkowania i osłabienia Z. S. R. R., na pomysłach „nowego Grunwaldu” w stosunku do zachodniego sąsiada, na projektach „wielkiego polskiego aktywizmu”, któreby uwolniły nas raz na zawsze od niebezpieczeństw i niedogodności „korytarza niemiecko-rosyjskiego”.

Wśród artykułów Bączkowskiego, któremu braku poczucia mocarstwowości (egzaltowanej wprawdzie) nikt zarzucić nie może, znajdują się też rozważania, poświęcone wewnętrznym sprawom polskim — głównie gospodarczym. Otóż Bączkowski, zastanawiając się nad kwestją, w jaki sposób i jakimi siłami można by się dźwignąć „z głębi studni, w której tkwi naród i państwo polskie”, próbuje przedewszystkiem ustalić „głębię” tej metaforycznej studni na podstawie danych „Małego Rocznika Statystycznego” i przytacza takie sugestywne cyfry:

W r. 1929 dochód społeczny wynosił w Polsce na jednego mieszkańca zł. 900.— (rocznie), w Anglii — 4.200 zł., w Danii — 2.500 zł., we Francji — 2.100 zł.; w r. 1933 dochód społeczny w Polsce spadł aż do 500 zł. (rocznie) na jednego mieszkańca, przez co rozpiętość w zestawieniu z krajami Zachodu powiększyła się jeszcze bardziej³⁾. Wkłady oszczędnościowe w Polsce wynoszą 1,3 miljarde; Austria miała ich o połowę więcej, Szwajcaria i Holandia mają trzy razy więcej — i t. d. Pod względem odżywiania się stoimy na jednym z ostatnich

miejsz w Europie; mieszkańiec Polski spożywa przeciętnie 20 kg. mięsa rocznie zamiast normalnych 60 kg., cukru — 10 kg. zamiast 50 kg. — i t. p. Przepiętna ilość osób mieszkających w jednej izbie w Warszawie wynosi — 2,06, w Rydze — 1,61, w Pradze — 1,44, w Sztokholmie — 1,12, w Kopenhadze — 1,01, w Londynie — 0,89. Jeśli chodzi o produkcję przemysłową, wskaźnik jej z r. 1936 wynosi dla Polski w porównaniu z rokiem 1928 (100) — 72, podczas gdy dla Japonii 169, dla Anglii — 123, dla Stanów Zjednoczonych — 94, dla Francji — 78. Analogiczne wskaźniki stanu zatrudnienia w przemyśle wynoszą: dla Polski — 76, Japonii — 117, Anglii — 109, Stanów Zjedn. — 93, Francji — 77. W dziedzinie przewozów kolejowych ma Polska wskaźnik — 82, ustępując Japonii — 119, Anglii — 98, Niemcom 97.

Komentarze zbyteczne, zresztą — nie szczędzono ich w publicystyce polskiej. Wystarczy dobrze wmyślić się w te cyfry, pamiętając przytem, że jest to tylko drobna część „materiału urzędowego, zawartego w „Małym Roczniku Statystycznym”. Uwzględnienie obiektywnych danych cyfrowych, ilustrujących gospodarczy i socjalny stan Polski współczesnej, staje się koniecznością, jeśli zagadnienie Polski mocarstwowej ma być traktowane realnie i wszechstronnie.

A w następstwie tej konfrontacji, powyżej dokonanej, nasuwa się już sam przez się wniosek ostateczny: Mocarstwowość — to wielka rzecz, lecz nie jest ona darem z łaskawych niebios spadającym. Trzeba tę mocarstwowość zdobyć jako rezultat długotrwałego i ciężkiego, ogólnopolskiego wysiłku; trzeba by stała się ona nie odświętnym zawołaniem, lecz twardym nakazem codzienności; trzeba, by sprawdzianem jej były nie doraźne sukcesy, na tem czy innym polu odnoszone, lecz ogólne i trwałe wyniki wielostronnych działań, podejmowanych w imię zwycięstwa największych i najszczytniejszych ideałów. Mocarstwowość, na takich wsparta podwalinach, jest żywą prawdą polityczną, która w chwili próby objawi swą wagę i walor.

²⁾ Włodzimierz Bączkowski. W obliczu wydarzeń. Warszawa, „Myśl Polska”, 1939; str. 112.

³⁾ W „Małym Roczniku Statystycznym” na r. 1938 dział „Dochód społeczny” został wogóle pominięty (przyp. aut.).

N A F A T A L N E J D J E C I E

Henry de Montherlant. Życie bez kobiet. Przekład Wacława Rogowicza. Warszawa, „Rój”, 1938; str. 285 i 3 nl.

Montherlant dzięki cyklowi „Dziewczęta” wyrobił sobie złą prasę wśród kobiet, nawet inteligentnych, obnażył bowiem ich biologiczny egoizm, wyprawiając świetne harce po t. zw. świętych złożach uczuć. Tego posagu raz na całe życie nie potrafił odcenić i za to spotyka go kara ze strony kobiet, pogardliwe odcienie usteczek; a kobiety przecież czytają powieści najwięcej. Dlatego mówić dziś o Montherlancie jako o świetnym pisarzu w modnym salonie literackim — to tak, jakby lowelasowi z r. 1885 wymknęło się w przyzwoitem kółku rodzinnym pochlebne zdanie o kankanie, oglądanym w tingle--tanglu.

W „Życiu bez kobiet” Montherlant jakgdyby zwraca kobietom część ich zabranego honoru, ale ta przesyłka jest anonimowa i bez adresata. Niewiadomo bowiem, których kobiet brak było nieszczęsnym starym kawalerom tej książki, wiadomo tylko, że brak im było kobiet wogóle, jako pewnego fizjologicznego składnika, jako pożywki. Siła rozwoju charakterów, ich plastyka, ton uczuciowy, spoczywają w człowieku, jak głęboko schowane złoża rudy, są w swej sile wyznaczone, zanim obiekt miłości się zjawi. Jaki on będzie — obojętne. Kochamy taką miłością, na jaką nas stać, nawet szwaczuchę Leona hrabiego de Contré. Uczucie szuka bylejakiej ziemi dla uczepienia się psuki i przyglądania się i pielęgnowania ukochanej rośliny: swego przedmiotu miłości.

W momencie rozpoczęcia powieści autor przedstawia nam dwu dziwaków całkowicie już w swej formie skrzepniętych: Eljasza barona de Coëtquidan i jego siostrzeńca Leona hrabiego de Contré. Żyją oni razem, pierwszy ze skromnej renty, drugi z resztek schedy po matce, kurczących się w miarę ujawniania coraz to nowych niezaspokojonych dłułów. Krogulec Eljasz, gdyż takim mianem musi się go obdarzyć, stanowi typ samotnika pur sang, człowieka nieufnego i ostrożnego do przesady; jego niechęć do kobiet nawet wpływa z obawy, aby nie być wyzyskiwanym. Skąpiec i rentjer psychiczny, żyjący wciąż na przeczekanie, zawikłany w tysiące dziwactw, ex-student nauk politycznych, nawet z renomą znacznych zdolności z czasów młodości, jest typowym okazem uschniętego krzewu, biblijnej oliwki, nie rodzącej owoców. — Znacznie odmienną osobowością jest Leon. Raczej przeciętny i ograniczony, w młodości okazujący żłudne pozory cyklotymika, łatwego w obejściu i zyskującego sobie przyjaciół, praktycznego i zręcznego, pod trzydziestkę dopiero ujawnia okropne owoce degeneracji, rozwijającej się w nim jak śmiertelna choroba. Rozpoczęło się od przedsiębrania ryzykownych i rujnujących pomysłów handlowych, które uosobiły do niego rodzinę jak najgorzej. Głównie mu-

siał tu płacić najstarszy brat matki Oktawjuś, oryginał innego typu, którego pomysłna konjunktura życiowa utrzymała na odpowiednio wysokiej stopie finansowej. Drugim ciosem dla Leona jest zawiedziona miłość. W swej najgłębszej skromności wybrał dziewczynę prostą i ubogą, aby nie mogła mu już niczem zaimponować i może w złudnym marzeniu, że on będzie tą stroną silniejszą. Ale i ta mieszczka potrafiła go w pewnej chwili odepchnąć. Dotknięty w swej wrażliwości i obrażony na kobiety raz na zawsze, wycofuje się z czynnego życia. Odtąd będzie u matki na garnuszku, z własnej woli raczej froter i ogrodnik — gdyż pogłębiło się w nim zamiłowanie do pracy fizycznej — niż dziedzic arystokratycznego nazwiska.

Życie Leona, przez długie lata utrzymywane w stanie obojętnej vegetacji, dopiero z momentem uświadomienia sobie zbliżającej się ruiny nabiera żywszego tempa i jakby rumieńca aktywności. Jest to jednak pośpiech ku katastrofie. Zlikwidowanie obecnego dużego mieszkania ma być tym punktem zwrotnym, według którego liczy się czas jak w kalendarzu nową erę. Leon cieszy się na zmianę, przeświadczony o tem, że „rodzina nie da mu zdechnąć”. Myli się gruntownie, rodzina da mu zdechnąć. Oktawjuś, który potrafi wyrzucić kilka tysięcy franków na cele dobroczynne dla nieznanych mu bliżej instytucji, nie nie zrobi dla swego siostrzeńca, a nawet będzie mu skąpił datków na życie. Osoba Leona, naznaczona prawdziwą bezradnością ludzi zrozpaczonych, działa rozkładająco nawet na litość. Rozbitek zostaje prawie zesłany na wieś, do dworku Oktawjusza w Bretanii, i jakby przeczuwając, że nie wolno mu przeżyć ostatniego wydanego franka, śpieszy się ze swoim zdrowiem, aby pozbyć się i tych zasobów równocześnie. Umiera w osamotnieniu, spowodu wylewu krwi do mózgu, w chwili, kiedy się tego nie spodziewa, uspokojony w swym losie liryczną frazą jakichś ptaków w odlocie, oglądanych tuż przed śmiercią. Jest w tem wszystkim żalona przekora zguby przygotowanej z premedytacją.

Montherlant daje w „Les célibataires” (tytuł oryginału) wspaniałe studjum charakterów, udziela trującej wiedzy o życiu w sposób drapieżny, ale w tej drapieżności jest jasność i precyzja widzenia, właściwa tylko arcydzielowi. Do niezapomnianych momentów należą takie, jak: wzajemna gra Eljasza i Oktawjusza Coëtquidanów, pasorczyta i tego, który ma płacić, dalej — wyprawa Leona na Montemarte, kiedy obdarowany pieniędzmi przez wuja chce znowu nawiązać kontakt z kobietami, ale mu się to po wielu próbach przełamania nieśmiałości nie udaje; rozczarowanie w zetknięciu się z wsią, nieporozumienia z lekarzem wiejskim, snobem, który zamiast leczyć chorego, zwraca mu głowę drzewami genealogicznymi, wreszcie werdykt na osobę zmarłego,

wydany przez rodzinę, pełen fałszów i błędnych wniosków, odsłaniających, jaka ściana obcości stoi między jednym człowiekiem a drugim.

Dla lepszego wytłumaczenia klimatu książek Montherlanta, muszę tu powiedzieć kilka słów o jego metodzie pisarskiej. Otóż — jest on osobistością twórczą, którą można nazwać anty-impresjonistą. Nic nie wychodzi u niego od „momentalnych ogładów”, nic od sytuacji i zdarzeń, niema w nim nawet nic z obiektywizmu epika, pozwalającego czytelnikowi na dowolne wnioski z szeroko rozplanowanej akcji. Jego powieść wygląda jak jedna skondensowana charakterystyka, naukowe studjum na temat postaci, uzupełniane wciąż nowymi rysami. Tylko od swobody poruszania się w tych sytuacyjnych pretekstach, tylko od doskonałego pamięciowego opanowania kompozycyjnych warstw dzieła zależy to, iż ulegamy złudzeniu żywej akcji. W rzeczywistości charakterzy Montherlanta w chwili, kiedy uzyskujemy wgląd w ich mechanizm, spreparowane leżą już między szkiełkami pod obiektywem mikroskopu. Ciekawość, którą darzymy te preparaty ma w sobie coś z żarliwości i poszanowania dla autentycznego dokumentu, jest w niej zaufanie do przyrodniczej ścisłości badacza. Precyzja dialogów zaś, znaczonej nawet w swoim timbrze odpowiednią kursywą, sprawia że śledzimy rozgrywaną się rozprawę z zajądłością sędziów i adwokatów. Każdy cios charakterologiczny pisarza witamy nowym okrzykiem: o, tu boli, tutaj uderzenie „siedzi”, tutaj drga odsłonięty nerw; i tej czułości na granie maszyny ludzkiej, tej absolutnej muzykalności pisarza zawdzięcza Montherlant swoje piękne artystyczne rezultaty.

Przekład Rogowicza współtwórca, elastyczny i pełen subtelny wyrazu.

Marjan Promiński

Czas odnowić
prenumeratę

NOWOŚĆ NA RYNKU KSIĘGARSKIM

SZYMONA SPUNDA

MIASTO OBLĄKANYCH

REWELACYJNY FAKTOMONTAŻ
Z KULPARKOWA

FRAPUJĄCE OBRAZY Z TAJEMNICZEGO ŚWIATA PÓŁ-LUDZI

Bogato ilustrowany egz. zł. 2.50

— we wszystkich księgarniach —

¹⁾ Juljusz Łukasiewicz, ambasador R. P. w Paryżu. Polska jest mocarstwem. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1939; str. 62 i 2 nl.

MARJA FIDERERÓWNA

Co cesarskie — cesarzowi...

Od kilku tygodni na łamach prasy polskiej wszystkich kierunków toczy się dyskusja nad zagadnieniem, poruszoną przez Zygmunta Żuławskiego w jego głośnym już dziś artykule o katolicyzmie i socjalizmie. („Robotnik“, 1. I. 1939). Oceniając ją ogólnie dochodzę do wniosku, że z najmniej przychylnym przyjęciem spotkała się koncepcja Żuławskiego w obozie katolicyzmu polskiego reprezentowanego przez kler i endeckie pisma. Nie chciałabym posądzać kler o prowadzenie pewnej gry politycznej, tembardziej o krótkowzroczność, sytuacja jednakże została oświetlona zbyt jaskrawo, aby można się ludzi. Odrzucono wrogo koncepcję Żuławskiego; pomiędzy Polską Partją Socjalistyczną, reprezentującą dziś niewątpliwie poważny odłam społeczeństwa i szeroka sferę wpływów, a grupą osób, powołanych do reprezentowania wielkiej idei chrystianizmu przeprowadzono ostrą i wyrażną linię demarkacyjną, nieopatrznie wybudowano barykadę, powołując się na przychylną opinię, jaką katolicyzm cieszy się wśród robotników. Robiono to wszystko z dużą pewnością siebie, nie okazując nawet lojalnej chęci porozumienia się bez względu na jego wynik, czy mający nastąpić później układ stosunków. A jednak? Koncepcja Żuławskiego nie była „pociąganiem koniunkturalnym“, jak to insynuowała Katolicka Agencja Prasowa. P. P. S. ma w tej chwili niewątpliwie silną podstawę społeczną i zupełnie wystarczającego sojusznika w masach chłopskich, którym wysublimowane pojęcie własności prywatnej, broniowej z takim dostojenstwem przez K. A. P. nie rozwiąże problemu reformy rolnej.

Zagadnienia, dotyczące stosunku do religii, choć usiłuje się rzucać je na szalę jednej doktryny politycznej i jednej organizacji partyjnej, choć stały się pospolitą i bezdusznym chwyttem propagandowym, nie stanowią u nas mimo wszystko proberza siły politycznej i politycznych przyjaźni. Platforma wysunięta przez reprezentanta Polskiej Partji Socjalistycznej może stać się potrzebna i pożądana istotnie w pewnej koniunkturze politycznej — ale raczej nie dla P. P. S. Należy się nad tem troskliwie zastanowić, ocenić realnie układ sił społecznych i zdecydować o sojuszach, zanim trzeba będzie uciekać się do taktyki kardynała Innitzera; jej analiza daje najlepszy obraz możliwości porozumienia katolicyzmu z faszyzmem, ugodowego stwarzania pewnej koniunktury, o którą posadzono Żuławskiego; postępowanie kard. Innitzera wraz z jego bolesnymi następstwami powinno stać się znakiem ostrzegawczym i wytyczną zmiany kierunku. Nie należy odrzucać zbyt pewnie wyciągniętej lojalnie reki, bo może stać się potrzebna wtedy, kiedy nie będzie można wyzyskać nawet rozpiętości pomiędzy ks. Panasiem a ks. Trzeciakiem, którą tak umiejętnie zamknął w sobie polski katolicyzm, gdyż za wiele autorytetu i uczuć położono po stronie ks. Trzeciaka.

Trzeba więc zastanowić się, przyjrzeć dokładnie rzeczywistości od tej strony, z której podklejały się już świąteczne nalepki: „państwowotwórcza“, „katolicka“, „narodowa“, trzeba ochłonąć z ekstazy pielgrzymek, krucjat i obchodów, aby mieć realnie przypatrzeć się życiu i mieć tyle cywilnej odwagi, żeby swoim dobrym spostrzeżeniem przyznać słusność.

*

Pisałam już („Sygnały“, nr. 52), że antyklerykalizm naszego społeczeństwa nie jest doktryną, filozofią ani polityką, jest natomiast podświadomym, społecznym odruchem — instynktowną obroną. Nie widać go na każdym kroku, nie rzuca się w oczy, społeczeństwo polskie stoi dziś przed koniecznością rozwiązywania bardziej palących zagadnień, ale to wcale nie upoważnia do optymizmu. Wystarczy przeglądać „Wici“, organ badający największego ugrupowania młodzieży w Polsce, reprezentującego w polityce ową budowaną wciąż jeszcze dokoła kościółka i plebanji wieś — aby przynajmniej mi słusność. Wystarczy pójść na jakiegokolwiek zebranie robotnicze, nie z kłębem, ale z wolą poznania rzeczywistości, aby nie powoływać się już więcej na katolicyzm polskiego robotnika, argumentując przeciw P. P. S. Przeciwnie, chcąc uchwycić istotę skojarzeń, hierarchię potrzeb społecznych i kierunek ekspansji duchowej tych ludzi, chcąc uniknąć tragicznego rozdźwięku między nauką a życiem, trzeba w głoszeniu nauki Ewangelji powoływać się na podstawowe zasady socjalizmu, na wszystkie hasła demokracji, nawet — a może przede wszystkim — tej hiszpańskiej, spychanej dziś do katakumb przez epokę Nerona.

Krzyż na armatach generała Franco to znak czasu, wypalony na wieczną hańbę historii; nie da się go zetrzeć i trzeba będzie długo o nim zapominać. Może jeszcze czas, aby się usprawiedliwić, aby zrozumieć i przyznać odważnie, że idea walczącego chrześcijaństwa i walczącej demokracji wyszły z tych samych źródeł, z tych samych pojęć i potrzeb tych samych klas społeczeństwa.

*

W Kole Młodzieży P. P. S. przemawiał chłopak, członek Koła i równocześnie członek Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej. Mówił bez taktycznych uogólnień

o tem, że należy do K. S. M. M. już dawno, że będzie dalej należał, „choć tam się prowadzi polityczną propagandę“, że brał udział w pielgrzymce jasnogórskiej, gdzie się też robiło „polityczne kawałki“, ale on jest już uodporniony, zdaje sobie z tego sprawę, nie da się „zdecydować“. Zwierzał się, że wychowano go w domu po katolicku, ale dla tego właśnie sądzi, że o wolności, sprawiedliwości i miłości bliźniego mówią jednako religia i socjalizm i że koniecznym uzupełnieniem ideologii będzie wstąpienie i działanie w P. P. S.

Ten chłopak stanął na wysokości zadania. Dokonał tego czego do dziś nie mogą zrozumieć i zrobić dostojnicy, działacze, publicyści. Prymitywnie i prosto, kierując się jedynie nieomylną intuicją potrafił zarówno rozdzielić ideę i praktykę katolicyzmu, jak też skojarzyć i powiązać ze sobą pojęcia etyczne zawarte w socjalizmie i nauce Chrystusa. Potrafił, choć gdyby nie umiał tego zrobić, nie można mu się dziwić. Robotnik zorganizowany w klasowych związkach zawodowych, walcząc o prawo do życia i prawo do człowieczeństwa, po drugiej stronie barykady spotyka siłę polityczną, popartą autorytetem kościoła. Nikt się chyba nie ludzi, że autorytet oparty o wartości etyczne i czysto duchowe, wciągnięty w nieprzebiegające w środkach walki polityczne, przestaje być autorytetem, staje się zwykłą szansą polityczną, którą łatwo można utracić. Nie wolno mieć potem do nikogo żalu, nie należy szukać przyczyn w „walce z kościołem“, której niema, trzeba wyjąć belkę z własnego oka i uciąć rękę która gorszy.

Koncepcja Żuławskiego była właśnie tem, o czym katolicyzm polski, zupełnie słusznie zresztą, marzy, próbując czasem przypisać marzeniom sens rzeczywistości. Była sięgnięciem w serce społeczeństwa, rządem dusz i hasłem bojowym nie politycznie zgryzającej się klikki ale — jak niegdyś — hasłem tych, którzy nieraz dowiedli, że za idee swoje potrafili walczyć i płacić, nie żądając pokwitowań choć byli niewolnikami i że śmierci ich czyniono igrzyska.

Ale tego nie da się zrobić przeciw socjalizmowi i demokracji, przeciw temu co stało się istotną treścią życia tych ludzi. Nie wystarczy obiecywać maluczkim, że „raczej wielbił przez ucho igielne“, ale trzeba zdobywać ich wiarę nie zapierając się jej ideałów w takiej samej walce o pa-

cier i chleb powszedni jak baskijski ksiądz w czerwonej Hiszpanii.

Kościół przetrwał wieki i stał się potęgą, umiał bowiem mądrze stawać się zawsze jedną z sił, które obracały stulecia i zaczynały nowe epoki, umiał siły te w sobie odnaleźć, skupić i sprzymierzyć. Czy teraz wobec narastającej fali nowych przesładowań katolicyzm zerwie nazawsze z odnawianą zresztą już przez kogo innego tradycją św. Inkwizycji a zwróci się w stronę św. Tomasza Morusa?

W tem wszystkim K. A. P. powinna znaleźć odpowiedź na siedem pytań zadanych Żuławskiemu, ale żeby nie było nieporozumień, żeby nie stawiano pytań retorycznych i bezcelowych — trzeba pewne rzeczy wyjaśnić.

Czy P. P. S. żąda rozdziału kościoła od państwa? Tak, ale tego samego powinien w własnym interesie domagać się polski katolicyzm: dla ratowania autorytetu rzuconego nieostrożnie w walkę polityczną, dla odzyskania stanowiska nadpartyjnego „tertii gaudentis“, dla zdobycia oparcia w szerokich kręgach społeczeństwa nie odgóry, z pieczęcią urzędową, ale od dołu. Chyba kościół nie obawia się próby o własnych siłach?

Jeżeli największy autorytet moralny świata może się porozumieć z największym światowym imperjum, jak z racji wizyty Chamberlaina w Watykanie pisał dziennik „Osservatore Romano“, to dlatego, ponieważ reprezentują dwie odrębne sfery interesów i wpływów, ale nie pota, aby w kilka dni później nazwać „komunistycznym katolicyzmem“ myśli artykułu Montizabala w „La Croix“, w którym francuski profesor i działacz katolicki domaga się jedynie obiektywnej oceny stosunków hiszpańskich.

Z tego wypływają już dalsze konsekwencje: reforma nauczania religii w szkołach i reforma prawa małżeńskiego. Polityka zapewnijająca długowieczność, to polityka zdobywania wpływów przez lojalne ustępstwa, które w dialektycznym rozwoju społeczeństwa stały się w pewnym momencie jego życiową koniecznością. Kto tego nie rozumie, zatracca cały sens życia społecznego, zdolność współzycia i współdziałania.

I wreszcie ostatnie pytanie: jaki jest stosunek P. P. S. do własności prywatnej? Trudno mi pisać teraz o ekonomicznej części programu radomskiego. Aby móc jeszcze kiedyś to zagadnienie poruszyć, sformułujmy może jasno stanowiska i platformę dyskusji. Czy K. A. P. pyta o to w źle zrozumianym interesie chłopów i robotników czy w dobrze rozumianym — interesie własnym?

Oddajcie co bożego Bogu — póki nie jest zapóźno.

WŚRÓD NOWYCH POWIEŚCI

Adolf Rudnicki. Lato. Warszawa, „Rój“, 1938; str. 230. — Maksymiljan Boruchowicz. Miłość i rasa. Powieść. Kraków, 1938; str. 271 i 1 n. — Stanisław Strumph Wojtkiewicz. Kamienny most. Wybór nowel. Warszawa, „Biblioteka Polska“, 1939; str. 182 i 2 n. — Helena Łysakowska. Szrapnel i krzyż. Warszawa, „Rój“, 1939; str. 252 i 4 n.

Wrażenia wakacyjne, które Rudnicki nazwał „Latem“ przypominają swoją strukturą wypracowanie studenta polonistyki. Jest to analiza estetyczna, drobniagowy rozbiór elementów, które natura wyhodowała, zebrała i ułożyła w piękny twór, zwany latem w nadwiślańskim miasteczku. Jak przystało na pilnego studenta, Rudnicki pociął dzieło natury na kawałki i potem ułożył według kolorów: tu „typy“ autochtonów, ówdzie pejzaże, gdzie indziej „wątki miłosne“. Spreparowanie to odznacza się wszelkimi zaletami pracy seminaryjnej — jest rzetelnie nudne i do niczego nieprzydatne.

Nie przesadzajmy. W „Lecie“ jest dłuższy fragment, który wywołuje wrażenie: jest to rozdział, poświęcony Żydom. Egzotyczny krajobraz ghetta w okresie żydowskich świąt jesiennych przejmuje czytelnika, jak uczciwy, bezpretensjonalny reportaż. Niestety, jest to tylko fragment.

Osobliwością Rudnickiego jest jego styl i obrazowanie. Autor „Lata“ obarczony jest nałogiem myślenia, wszystko na co spojrzy, rzecz najbliższa, plot, wyrwa w chodniku, wywołuje automatycznie pracę intelektu, wywołuje zmysłowe ciągnię z sobą długi szereg skojarzeń, sądów i twierdzeń, które, nie ulegając segregacji, pozostawione przy życiu, rzucone w całej swej wątpliwej okazałości na łamy książki, wypierają swoją pierwszą przyczynę sprzed oczu odbiorcy. „Dysplastyczność“ ta tak głęboko przeżarła Rudnickiego, że gdy czasem zapragnie dać obraz konkretny, tworzy żałosne ogólniki: „niebo jak szaleństwo“, „rzeka jak ukojenie“, „wzgórza na których księżyc leży jak błogosławieństwo“.

Jest rzeczą charakterystyczną, że ta „pojęciowość“ Rudnickiego nie przeszkadza mu sąsiadować chwilami z inną, biegunowo, zdawałoby się, odmienną klasą naszych pisarzy: z „mystykami“ i „witalistami“. W pewnym momencie, w transie intensywnego rozmyślenia o rzeczach go otaczających, potrafi zadać takie pytanie: „o czym może myśleć ulica?“ Z jakąż siłą brzęczącej pustki tego powiedzenia zazdroszcza mu niekiedy poeci, tak umiejętnie z kłocków zmysłowych doznań imitujący głębie myślowe i przeżycia, których im poskąpił ich ubogi intelekt i płaskie mieszczańskie życie.

Zbieżność taka nie jest przypadkowa.

organicznie niezdolni do tworzenia konkretnych i żywych postaci, charakterów powieściowych: Typowy pod tym względem jest chociażby Przybyszewski, jeden z mistrzów i protoplastów rodu, którego spóźnionym potomkiem jest Boruchowicz. Boruchowicz manje psychologiczowania posuwał tak daleko, że rozowodnił i odbarwił także i sytuacje. Książka o najbrutalniejszej i najbrudniejszej karcie dziejów ludzkich technie niemal zaziemskim spokojem, wszystkie ostre kany są zawoalowane, dramatyczne motywy rozplywają się w półśłówkach i półtonach, a najbardziej ni jakiej jest zakończoność.

Boruchowicz poznał technikę struktury powieściowej, ale jej nie opanował. Zawarcie czasu obiektywnego książki w jednej nocy nie staje się u niego narzędziem, któreby można wydobyc z materiału silne efekty artystyczne. Próbe równoległego prowadzenia motywów (czterech oficerowie-samobójcy i Edyta) przeprowadził autor konsekwentnie, ale i to jest raczej narzuconym z zewnątrz chwyttem, którego celowości wewnętrznej nie widać.

Wpominmy także o pewnych niesprawnościach językowych, a lista minusów będzie zamknięta.

Książkę czyta się jednak łatwo, niebrak w niej fragmentów przejmujących i przekonywujących, a duża kultura i poczucie taktu autora pozwala się po nim spodziewać rzeczy bardziej wyrobionych.

Mimo podtytułu „wybór nowel“ nowele Strumph-Wojtkiewicza nie są wyborowe. Można z nich wyluskać 2—3 (np. „Wojna z świętym Janem“, „Śmierć Niezwykłego“) nieco lepsze, reszta, jak suknie kobiet z 1910 r. cuchnie odorem rzeczy już przestarzałych, a jeszcze nie starożytnych. Nie dodają im uroku ani (rzadkie zresztą) pokrewieństwa stylowe z Sienkiewiczem, ani płytkość i powierzchowność charakterystyki postaci, typowe dla przejściowego okresu Choynowskich, Perzyńskich i Grzymała-Siedleckich.

Pewną wartością książka Strumph-Wojtkiewicza posiada, jako dokument. Przeżycia wojenne, będące tworzywem większości tych nowel, dla przyszłych, wyższych pokoleń mogą dostarczyć ważkich argumentów do aktu oskarżenia przeciwko rządzącej dziś kulturze. Oto podchorąży, który spędza pięćset czy tysiąc chłopów dla budowy mostu w ciągu doby i przy tej okazji zabija z nich dwunastu, później zaś gotowy most podpala, bo już go nie trzeba. Oto kapitan Osterhof, którego matkę bolszewicy wyrzucili z pociągu, wetuje to sobie wyrzucając obiegami nosy żonom komisarzy. W tej noweli autor zdobył się na właściwy, epicki ton. Gdzie indziej podobne wypadki traktuje niemal z uśmiechkiem i z miną na temat „albośmy to jacy-tacy“. W takich momentach książka jest nie tylko słaba, ale i odpychająca.

Książka Łysakowskiej wyrosła także z wojny. Kontrastuje ona jednak z nowelami Wojtkiewicza zarówno po stronie plusów, jak i minusów. Jest więc przede wszystkim zbiorem szkiców, nie powieścią, ani cyklem nowel. Jest to surowiec, wydobycie czystego kruszcza artystycznego wymagałoby jeszcze wiele wysiłku ze strony autorki, m. in. dlatego, że ta powieściowa ruda nie należy do rud wysokoprocentowych.

Ślady obróbki, widoczne tu i ówdzie, dotyczą postaci, nie struktury, ale obrazów przyrody i t. p. elementów drugorzędnych. Świadczą one jednak o wyczuciu przemian stylowych, zachodzących w naszej literaturze i nie rzucają, jak u Wojtkiewicza, przestarzałością.

Chyba najsilniej jednak kontrastują te dwie książki pod względem ogólnego nastroju. Łysakowska opisuje życie i pracę sióstr w szpitalach wojskowych, jej stosunek do cierpienia ludzkiego, do rannych i do wojny ujmuje czytelnika szczerem, ale nie kłiwym, nie fałszywym humanitaryzmem. Dobro ludzka, zwykła, nieprzerafinowana, umiejętnie przez autorkę przedstawiona w dużym stopniu pozwala zapomnieć o minuscach technicznych i niewykończonych książce.

Znacznie więcej miejsca i uwagi poświęciła Łysakowska życiu dalekiego „tyłowego“ szpitala. Jest to jeden z większych błędów utworu: znacznie ciekawsze i bardziej pożądane byłoby staranniejsze opracowanie bytu szpitala polowego. Niestety, przypadająca nań druga, mniejsza część książki jest jeszcze bardziej zdawkowa i pobieżna niż pierwsza.

Jerzy Putrament



OLEUM PETRAE „GLINAR“

OBLICZE DNIA

Nacjonalści przeciw narodowi. Godny uwagi jest fakt, że ci, którzy uważają się za chorążych myśli narodowej, są niemal wszędzie nieprzyjaciółmi tradycji kulturalnych narodu. Wolność, sprawiedliwość, humanitaryzm są to słowa niezrozumiałe dla umysłowości, która nie zapuszcza korzeni w przeszłość, lecz bierze źródło w wymaganiach politycznych i gospodarczych chwili obecnej. Rzekome odrodzenie narodowe jest w rzeczywistości zamachem na zdrowie fizyczne i moralne narodu, którego charakter usiłuje się wypaczyć, głosząc moralność niszczącą osobowość ludzką i stwarzającą podludzi. Wymagania kultury są w naszej epoce antytezą podstaw egzystencji politycznej i ekonomicznej oraz ich konsekwencji w zakresie środków walki. Żadna okupacja nieprzyjacielska nie może odebrać narodowi charakterystycznej go kultury, prawdziwej zasady jego niezależności. Ale wymagania wojny nowoczesnej rodzą faszyzm. Wojna nowoczesna wymaga z ekonomicznego punktu widzenia — koncentracji środków produkcji w jednych rękach; z politycznego punktu widzenia — koncentracji władzy politycznej; z psychicznego punktu widzenia — zahipnotyzowanej masy.

1830 lat temu. „Władza nie dowodzi swej siły zniewagami, terror nie zdobywa szacunku, a przywiązanie łatwiej dać może to, czego chcesz, niż strach. Albowiem strach znika, gdy odwrócisz się plecami a przywiązanie pozostaje; i tak jak strach zmienia się w nienawiść, przywiązanie zmienia się w szacunek.

Powinienbyś zatem ciągle przypominać sobie jakie piastujesz stanowisko i jak ważną rzeczą jest rzucić wolnymi państwami. Cóż bowiem bardziej konstytucyjnego niż taki rząd, coś cenniejszego nad wolność? (Z 24 listu Plinjusza do Maximsusa, księga VIII).

Republika hiszpańska w oczach katolika. W nakładzie Stauffachera (Zürich) ukazała się niedawno książka p. t. „Ein Katholik im republikanischen Spanien“, w której autor — Hubertus Prinz zu Löwenstein — dochodzi prawdy walki hiszpańskiego ludu. Szczegółowe światło rzucają jego wywody na „prześladowanie kościoła katolickiego w republice hiszpańskiej“. „Na 51 biskupów hiszpańskich 48 wydało jeszcze w tym roku list pasterski, wypowiadając się w nim za gen. Franco. Oświadczenie to postawiło rząd republikański, walczący i tak z wielkimi trudnościami, w bardzo ciężkiej sytuacji. Walka z kościołem nie ma nic wspólnego z marksizmem. Wszystkim zamieszkom hiszpańskim przysięgaliśmy łuny palonych kościołów. Tak było w latach 1823, 1835, 1868, 1873, 1909 — latach hiszpańskich przewrotów.

W Hiszpanii było wiele klasztorów, w których mniszki żyły w najostrożniejszej klauzurze — wiele zakonnic przez pięćdziesiąt albo i sześćdziesiąt lat nie widziało świata zewnętrznego, nawet gdy marli ich rodzice. Ażby wybrać Gil Robles'a, otrzymały one wyjątkowe pozwolenie opuszczenia zamknięcia...“

Tużące się jeszcze po Europie złudzenia o braku okrucieństwa wśród katolickich wojsk gen. Franco rozwiewają ostatecznie „wyjaśnienia“ angielskiego sprawozdawcy, udzielone w tajemnicy autorowi, w sprawie wystrzelania 5.000 milicjantów po wzięciu Malagi: „...zostali oni zapędzeni na arenę walki byków i tam wysięczeni kulami karabinów maszynowych. Przybywający później musieli wiazić na góry trupów, aż karabiny mogły ich dostatecznie osiągnąć“.

47550 = 300000. Rozmaitymi drogami szła polityka mieszkaniowa Niemiec hitlerowskich. Jeszcze przed dojściem do władzy, w roku 1932, gospodarczy program natchmiastowy N. S. D. A. P. głosił, że „każdy robotnik, który chce przesiedlić się na wieś i do przesiedlenia jest zdolny, otrzyma 40% dodatek jeżeli pragnie nabyć własny domek...“ W roku 1935 oświadczył niemiecki minister pracy Seldte, że rząd Rzeszy stawia na pierwszym miejscu w swojej polityce mieszkaniowej i przesiedleniowej budowę małych osiedli, w których widzi najlepszą formę przesiedlenia dla rzemieślniczej, mniej zamożnej ludności. Miało ono zaspokoić tęsknoty wielu „najlepszych towarzyszy“ do posiadania własnego domu i własnej ziemi, zamienić się w narodowe przesiedlenie, germański nawrót do ziemi. W roku 1936 „Angriff“ pisał, że „naszym głównym zadaniem nie będą tak usilne starania w kierunku przesiedlenia ludzi z miast do wsi, lecz przede wszystkim stworzenie zdrowych stosunków mieszkaniowych“. 16 lutego 1938 r. kierownik Frontu Pracy dr. Ley wygłosił w Izbie Pracy ostre przemówienie przeciw „bezmysłnemu budownictwu domków wiejskich...“: „Nie możemy sobie na to pozwolić, musimy mieć mieszkania. Niech tylko ten idzie na wieś, kto wykazuje się przedtem, że potrafi obrobić swój ogród, i nikt inny. Pozostałym należy dać schłodne mieszkankie z łazienką, dostatecznie obszerne; to jest znacznie zdrowsze i lepsze. Nie jest naszym celem, aby robotnik po pracy zjedł jeszcze do ogrodu i trudził się i męczył...“

Tymczasem hitlerizm dokonał w dziedzinie mieszkaniowej cudu: „W roku 1936 wybudował Niemiecki Front Pracy (D.A.F.) 300.000 mieszkań robotniczych“. („Angriff“, 13. VI. 1937).

Niemiecki Urząd Statystyczny podaje, że w r. 1936 wybudowano ogółem 47.550

mieszkań 1—3 izbowych. („Wirtschaft und Statistik“, nr. 11.1937).

Czerwona przeszłość. Biblioteki publiczne we Włoszech otrzymały rozkaz zamknięcia na klucz wszystkich roczników wydawanego przez Mussoliniego w latach 1919—22 pisma „Popolo d'Italia“ i niewypożyczania ich nikomu.

Marzenia totalne. W biuletynie (nr. 34) „Prasowej Agencji Młodych“ (O. Z. N.) Adam Janowski pisze m. in. na temat „wolności prasy“: „Okresy życia narodu, w których na jego czoło wyłania się jednostka kierownicza, jednostka panująca, muszą być wykorzystane (?), wśród wielu innych rzeczy (?) również do wychowania społeczeństwa, do kształtowania w niem instynktu państwowego, politycznego, do wtłaczania w duszę narodową tych zasad, które na przetrzenie wieków są państwowym i narodowym „dekalogiem“... Prasa jest w obecnych czasach jednym z środków, przez działanie których kształtują się instynkty, rozwija się dusza narodowa — stąd nie wolno o tym środku w realizacji nowego ustroju zapominać... Podnosi się u nas jeszcze od czasu do czasu krzyk, że władze krepują wolność prasy i słowa, że ograniczają wolność wewnętrzną jednostki... Wiadomo, gdzie jest miejsce każdego, kto podnosi fizyczny bunt przeciw porządkowi w państwie. Czas najwyższy rozwinąć i ustalić zasady, które zdecydowanie położą tamę rozkładaniu naszej psychiki narodowej, działaniu o wiele gorszemu od fizycznych rozruchów... Ale nietylko to — zadaniem państwa jest stworzenie takich ram, by jedynie propaganda myśli państwowej i narodowej znalazła pełne pole działania“.

Wieczny głód. W Paryżu (Editions du Cerf) ukazała się książka André Sidobre „Le germanisme en marche“ („Pochód germanizmu“), opatrzonej przedmową członka francuskiej Akademii François Mauriac:

„Przyszła zima — owa zima pokoju, który zdołaliśmy sobie zapewnić. Tak, leżą przed nami trzy albo cztery miesiące podczy, których będziemy mogli trudnić się naszym zawodem, zajmować dziećmi i prowadzić nasze biedne życie ludzkie. Na wiosnę zaczniemy znowu obliczać ilość naszych samolotów. Może także uratujemy jeszcze raz pokój, skoro znowu damy „gdzieś coś“ Minotaurowi; skoro rzucimy mu coś w paszczę. Ale co?“

Co nam zostaje po Austrii i Czechosłowacji? Co jeszcze posiadamy, co odpowiadałoby stopniowi tego nigdy nienasyconego głodu — tego nigdy niesytego głodu w środku Europy, tego wszystkiego pochłaniającego głodu, który musi się zaspokajać i który aż do tego czasu uczyszałimy krwią i mięsem innych. Skoro nie będzie jeszcze jednej Hiszpanii, jeszcze jednej Abisynii, Austrii, Czech — to co wówczas — pytam? Jak jeszcze będziemy mogli wówczas nakarmić owo istotnie rzymsko-niemieckie państwo, które wyrosło jak grzyb po deszczu pod uważnym wzrokiem głęboko myślących dyplomatów Ententy i jej wielkodusznym mężów stanu?

Odpowiedź mi zapewne: o to musi się zapytać wieczny głodny. Otóż właśnie, teraz będziemy to czynić. Angielski „premier“ albo francuski „premier“ przedsięwzięją znowu w nadchodzącym maju lub kwietniu pielgrzymkę do Berchtesgaden, aby zapytać wyrocznie. A odpowiedź wyroczni znamy już naprzód. Będzie ona krótka i jasna: „Odetnijcie sobie jedną nogę“.

Mauriac wystosował także w listopadzie ub. r. znamienne orędzie do swoich kolegów w Związku Wolnej Prasy i Literatury („Związek niezależnych niemieckich literatów i dziennikarzy na emigracji“):

„Moglibyśmy pisać, że niema miejsca na żadną ludzką troskę o przesładowanych w Niemczech i Austrii, że wszystkie słowa prócz tych, które błagają sprawiedliwości wnoszą się ku Bogu, są nieużyteczne.

Ale istnieje jeszcze myśl, która powinna im pomóc, by nie zwątpili: tym razem nie cierpieli napróżno. Ogrom ich cierpienia zbudził świat. Wszystkie narody kuli ziemskiej doznały uczucia wstydu i obrzydzenia.

Także tym razem wzmocił się krzyk. Krzyk wydobywający się z piekła Dachau będzie nam uniemożliwiał ponowne zaśnięcie. I przyjdzie dzień, dzień radości i pojednania, kiedy będziemy sobie przypominać, że my, chrześcijanie wszystkich kościołów, cierpieliśmy i modlili się wspólnie z męczennikami Izraela i że byliśmy świadkami owego braterstwa, które nas łączy w Bogu Abrahama, Izaaka i Jakóba, w „Bogu miłosierdzia i pocieszenia“ jak zwie go Pascal.

I zwracamy się teraz do jednego z Niemców, który także napewno zostałby dzisiaj wypędzony z Trzeciej Rzeszy, zwracamy się do Beethovena, by złączyć się wspólnie w hymnie miłości jego Dziewiątej Symfonii:

Wszyscy ludzie będą braćmi!“
Upajający faszyzm. Konsumcja alkoholu wzrasta w Trzeciej Rzeszy z roku na rok. Według urzędowej statystyki przypadało na głowę ludności spożytego alkoholu:

| | 1933 | 1938 | |
|-------|--------|--------|--------|
| piwa | 50,7 l | 64,8 l | + 30% |
| wina | 3,6 l | 7 l | + 100% |
| wódki | 2,4 l | 3,6 l | + 50% |

Urzędowi komentatorzy tłumaczą ten wielki wzrost spożycia trunków „podniesieniem się stopy życiowej niemieckiego narodu“. Wskazują, że spożycie alkoholu wzrasta prawie dziesięć razy szybciej ani-

żeli konsumcja podstawowych środków żywności: w tym samym okresie spożycie mięsa wzrosło tylko o 9%, mleka o 10%, masła o 13%, innych zaś zmniejszyło się — np kartofli o 7%.

Równocześnie z ograniczeniem wszelkiego importu i powszechniejącym zastępowaniem zagranicznych wyrobów przez coraz mniej wartościowe „ersatze“ wzrasta ilość „cennych“ dewiz przeznaczanych na wóz likierów:

| | 1933 | 1938 |
|-----------------|--------------|--------------|
| mocne wina | 1,825.000 Rm | 4,148.000 Rm |
| wermuty | 3,033.000 Rm | 3,580.000 Rm |
| likieri i t. d. | 1,454.000 Rm | 1,911.000 Rm |

Jeśli przeto słuszne są słowa Wilhelma Buscha „Spruch von altersher: Wer Sorgen hat, hat auch Likör“, musiały troski niemieckiego narodu wzrósł niepomiernie od czasu zdobycia władzy przez hitlerowców.

Przepełnienie więzień. Jak podaje „Robotniczy Hołós“ w 1928 r. było wszystkich więźniów w Polsce 29.706 osób; w 1932 r. — 37.992 osób; w 1934 r. — 48.444; w 1936 r. — 55.336; w 1937 r. — 59.496 osób. Ogólna pojemność wszystkich więzień jest obliczona co najwyżej na 40.000 osób. W 1928 r. zapewnienie więzień wynosiło 73%; tylko w więzieniach apelacji wileńskiej doszło do 110%, w więzieniach zaś innych apelacji wahało się od 48—88%; w 1936 r. (1 stycznia) przepełnienie więzień doszło do 109% w apelacji katowickiej, do 209% w apela-

SYMBOL HAŃBY: GHETTO

Szkoda czasu i miejsca na tradycyjne wstępy. Zaczniemy od wyjątków z listu Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (D. 215519a S. 111234/19, Warszawa, styczeń, 1919, podpis min. Jana Łukasiewicza), wysłanego do Michała Wawelberga, syna fundatora głośniejszej dziś szkoły technicznej w Warszawie:

„Uprawnienie wyznań w instytucjach państwowych jest koniecznością dziejową i jest w nowym Państwie Polskiem rzeczą tak oczywistą, że specjalne warowanie w ustawie szkolnej byłoby wprost w obecnych warunkach rażące.

Z takiego specjalnego warowania wynikałoby domniemanie, iż wogóle w szkołach publicznych równoprawienie nie panuje i że, niema osobnego zastrzeżenia, wówczas od władzy szkolnej zamknięcie drzwi dla wyznawców tej czy innej religii zależeć będzie“.

Tyle w oświadczeniu ministerjalnym. A oto wypowiedź dyrektora szkoły Wawelberga z r. 1932:

„Umowa M. W. R. i O. P. — czytamy w oficjalnym oświadczeniu dyrektora szkoły, Zakrzewskiego — z sukcesorami Hipolita Wawelberga i St. Rotwandą na prawo bezpłatnego użytkowania budynków szkolnych i pomocy naukowych zabezpiecza jednakowe traktowanie słuchaczy wszystkich narodowości bez różnicy wyznania. Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej, uchwalona w kilka lat później, zagwarantowała jednakową opiekę dla wszystkich obywateli na całym terenie Państwa Polskiego.

Wobec powyższego wszelkie zajęcia antyżydowskie na terenie Szkoły czy to indywidualne, czy zbiorowe, jako niezgodne z obowiązującymi przepisami, będą surowo karane z całą stanowczością“.

Przykład szkoły Wawelberga jest dla naszych stosunków niezwykle charakterystyczny: minister z r. 1919 składa uroczyste oświadczenie („uprawnienie wyznań — koniecznością dziejową“); minister tegoż samego resortu z r. 1939 przechodzi nad zobowiązaniem swego poprzednika, złożonym w imieniu rządu i państwa, jak nad świątkiem papieru do niczego nieobowiązującego; dyrektor szkoły w 1932 r. grozi surowymi sankcjami za rozpętywanie rasowych nienawiści, powołując się na umowę ministerstwa z fundatorami szkoły oraz na obowiązującą konstytucję; w 1939 r. dyrekcja szkoły drogą najostrożniejszych represyj zmusza młodzież żydowską do podpisania deklaracji ghettowej, w której studenci Żydzi zrezygnować mają z demonstracyjnego stania podczas wykładów i zająć wyznaczoną im w salach „strefę osiadłości“.

Jakże tragicznie i groteskowo zarazem zarysowują się sylwetki naszych panów od oświaty i kultury! Jakżeż upokarzająca i niegodna wychowawcy młodych pokoleń jest rola kierownika zakładu naukowego, który pod naciskiem zaborczego chamstwa sam wkracza na tak niedawno jeszcze ze szczytów swej profesorskiej powagi potępione manowce i bezdroża nacjonalizmu. Jakież wpływ moralny, jaki autorytet może mieć człowiek, który za cenę „świętego spokoju“ i kilku set złotych miesięcznej pensji zapiera się samego siebie? Jakże — powtarzam — oddziaływanie moralne zarówno na tych, których brutalnej sile nie chce czy nie potrafi się oprzeć, jak i na tamtych, których krzywdzi, znieważa i odziera z przyznanych przed parą laty zaledwie praw?

Dziś położenie studentów żydowskich ze szkoły Wawelberga jest wyjątkowo trudne: wobec niepodpisania deklaracji ghettowej kilkudziesięciu z nich grozi utrata całego roku (słuchaczom przyjętym na podstawie ukończenia 6 klas gimn. utrata praw do dalszego studjowania).

Przykład szkoły Wawelberga jest może najbardziej tragiczny, choć bynajmniej nie cdo osobny: wobec wprowadzenia ghetta w pracowniach klinicznych Akademii Stomatologicznej studenci Żydzi wstrzymali się od pracy w warunkach, urągających ich ludzkiej godności, co w konsekwencji po-

cji poleskiej. Przeciętne zapełnienie wynosiło 142%. W tym samym roku na podstawie amnestji jedna trzecia więźniów odzyskała wolność. Jednakże dnia 1stycznia 1937 r. zapełnienie więzień doszło do 143%. Wszystkich więźniów było wówczas około 60.000 t. zn. o 20.000 więcej niż „mogą“ pomieścić więzienia, a o 5.000 więcej niż w przededniu amnestji. Skoro rok 1936 przyniósł nadwyżkę dochodzącą do 25.000, to rok 1937, rok masowego strajku rolnego, przyniósł saldo napewno nie mniejsze. Według tejsze oceny ilość więźniów dochodzi obecnie do 70.000, więc niemal dwa razy więcej niż mogą pomieścić więzienia.

Wojna jest zawsze kłeską wolności, gdyż wymaga ona od samego początku takiego skoncentrowania woli w jednym kierunku, że wytwarza automatycznie u wszystkich narodów régime totalny i autorytatywny w całkowitym znaczeniu tego słowa. Nawet gdyby wojna nowoczesna nie doprowadziła do samobójstwa Europy, doprowadziłaby w każdym razie do samobójstwa wolności. Spostrzega się to już w krajach demokratycznych: w miarę tego jak myśl o wojnie nawiedza nas coraz częściej nietylko konsekwencje finansowo-gospodarcze zbrojeń niszczą cały postęp społeczny, ale i towarzyszą im klimat psychologiczny zmniejsza stopniowo różnicę między krajami dotąd demokratycznymi a krajami autorytatywnymi. (Henryk de Man)

ciąga za sobą utratę roku. Na Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego odbędzie się „rozprawa“ przeciwko 23 studentom Żydom, którzy przeciwstawili się bezprawnym zarządzeniom ghettowym.

W Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego na 11 studentów Żydów na pierwszym roku studjów 7 osób naskutek niesłychanie brutalnego terroru fizycznego załamało się, rezygnując z dalszych studjów.

Zresztą wypadki załamania się są wyjątkowo rzadkie. Ogół młodzieży żydowskiej zdobył się w obronie godności własnej, w obronie honoru polskich szkół akademickich i zagrożonej demokracji na postawę, którą (z całym zrozumieniem ciężaru gatunkowego tego słowa) należy nazwać bohaterstwem.

Bo przecież poza młodzieżą dobrze i znośnie sytuowaną do szkół wyższych uczęszczają dzieci żydowskiego proletariatu i ubogiego drobniomieszczactwa, dla których poza udręką fizyczną i gorszymi od niej torturami moralnymi każdy rok studjów to wieczne, licho płatne korepetycje, studjowanie po nocach, ciągle niedojadanie, to ostatni groź wystukany młotkiem w starej podszewie przez zżartego nędzą ojca-kamasznika i oddany na opłatę szkolną, to wioletoletnie nadzieje osobiste, nadzieje rodziców, to cel całego życia, od dziecka, od rodzicielskiej suteryny w zabłoconej uliczce potępionego ghetta.

Na Bałutach w Łodzi spotkałem dziecko żydowskiego proletariatu, które z błyskiem radości w zapadłych oczach, ruchem zgłodniałego zwierzątka podniosło z zabłoconej imitacji chodnika kawałek nasiąkniętego brudną wodą cukru. Na Nalewkach w Warszawie widziałem dwóch skrofulicznych „bachorków“, którzy wyszli na przechadzkę w jednym wspólnym kożuchu swego ojca: podobni byli do małego potworka o jednym kadłubku, ale o dwóch woskowych główkach i czterech nogach w rozchlapanych resztkach trzewików.

To, co widziałem, było właśnie dzieciństwem tych błądzących i szczupłych studentów żydowskich, o płonących, żywych oczach, nerwowych twarzach, zapadłych piersiach i kurchowo zacięniętych szczechach. Tych, których od dzieciństwa bito po twarzy, którym nigdy nie chciało darować Bałut i Nalewek i których całe życie i jego radości były, jak ten kawałek cukru zabłoconego, znalezione w dzieciństwie na chodniku tonącego w brudzie przedmieścia.

Po kilku latach borykania się z losem, o parę metrów przed metą młodzieniec staje nagle wobec zagadnienia:

1) prawo do ukończenia studjów okupić utratą szacunku do samego siebie;

2) narazić się na utratę studjów, zostać raczej życiowym rozbitkiem, aniżeli zrzec się prawa do godności człowieka.

Studenci Żydzi obrali to drugie. Nasze miejsce, miejsce polskiej demokracji, jest obok skrzywdzonych. Walczymy o jedno: o przywrócenie sponiewieranej godności ludzkiej. W tem jednym zdaniu zamyka się wszystko: wolność, sprawiedliwość, demokracja.

W obliczu ponurej tragedji lwowskiej, w okresie walki, w której studenci Żydzi postawili na kartę wszystko, demokracja polska powinna skończyć z systemem papierowych protestów.

Jeżeli nie potrafimy wyzwolić obrzymiej siły potencjalnej, którą — mimo pozornej bierności — reprezentują masy polskiego ludu, wówczas w całej Polsce będziemy mieli to, co już dzisiaj w minjaturze obserwujemy za murami naszych „przybytków nauki“.

Wierzę, że społeczeństwo polskie w jednolitym proteście wystąpi przeciwko ghetto, że nie dopuści, aby stało się ono hańbiącym symbolem upadku naszej kultury, upiorem smartychwstających mroków nowego średniowiecza.

Konstanty Anselm

KOESPONDENCJA

ANTYDIALEKTYCZNA OBRONA DIALEKTYKI

Do redaktora „Sygnałów“

Zygmunt Jarosz w dwu kolejnych artykułach pod anemicznym — jak sam przyznaje — tytułem: „Materjalizm żyje jeszcze“ („Sygnały“, nr 59 i 60) zabrał się do obrony dialektyki. Powiedział dużo, nawet za dużo, jak na dwa artykuły, ale powiedział kiepsko. Spoza materjalistycznych zakłęb i cytów z Engelsa wyjrzało oblicze idealizmu, tegoż samego idealizmu, który miał być obalony.

Najpowaźniejszego i najnowszego wroga materjalizmu odkrył Jarosz w św. Tomaszu. „...chodź nam będzie o przedstawienie stosunku dwu największych, najpowaźniejszych i najciekawszych doktrym dzisiejszego świata, marxistowskiej i katolickiej, do ostatnich zdobyczy nauk ścisłych“ — pisze.

Filozofja katolicka w swej klasycznej postaci nie jest filozofją dzisiejszego świata. Filozofja wogóle, jako najbardziej wykończona forma świadomości klasowej, jest przodużącym, czołowym oddziałem ogólnej armii ideologicznej klasy. Filozofja katolicka była takim czołowym oddziałem armii ideologicznej klasy feodalów. Swoją rolę obrony feodalizmu wypełniła. Z chwilą powstania nowego, kapitalistycznego społeczeństwa nowa klasa rządząca — burżuazja — stworzyła własną filozofję. Ta nowa idealistyczna filozofja burżuazyjna, zepchnęła starą, katolicką, do roli drugorzędnej. I podobnie jak zwyciężona szlachta feodalna zawarła po porażce sojusz ze swą następczynią — burżuazją, tak, rozbita przez nową filozofję, filozofja katolicka zaczęła szukać dróg porozumienia. Mogło się to dokonać jedynie poprzez asymilację (co nie oznacza prostego przejścia, lecz przejście ze zmianami) zdobyczy nauki burżuazyjnej i filozofji burżuazyjnej. Tylko ten zastrzyk mógł uratować umierającą scholastykę. Jesteśmy po dziś dzień świadkami tej asymilacji. Tak się stało z teorją Darwina, tak się dzieło i dzieje z filozofją Kanta, Macha, Bergsona. Tak się dzieje wreszcie ze zdobyczami nauk fizycznych, biologicznych i innych. Starą scholastykę kościelną i nową filozofję i naukę burżuazji połączył i łączy coraz bardziej reakcyjny cel utrzymania ustroju.

Ale co najważniejsze: obecna, przekształcona i wzbogacona nauką i filozofją burżuazji filozofja katolicka jest czemś zupełnie odrębnym od filozofji św. Tomasza. To co silne w neotomizmie — to idealistyczna filozofja, co słabe — to resztki scholastyki. Dlatego walka z cieniem św. Tomasza jest szkodliwa. Główny, prawdziwy wróg jest gdzieindziej. POCO wskrzeszać zmarłych nieprzyjaciół, gdy tuż obok są żywi!

Dziwne jest wymienienie jednym tchem jako doktryn: materjalizmu i filozofji katolickiej. Materjalizm dialektyczny nie był i nie jest doktryną. „Dialektyka to wiecznie żywe, wielostronne poznanie z nieskończonością odcieni ujmowania, przybliżeń do rzeczywistości“. Doktryna to suchy, skostniały system poglądów, pozbawiony wszelkiej styczności z żywym życiem.

Zagadnienie materji, masy i energii zostało przez Jarosza poplątane. Pisze on: „...jedną z najważniejszych zdobyczy fizyki współczesnej... jest stwierdzenie tożsamości materji i energii“. „I materja i energia (t. zn. ruch) znalazły wspólny mianownik, który ma na imię: masa“. I dalej: „Od ruchu zależą odąd nietylko przemiany materji — jak u św. Tomasza i Newtona — ale sam jej byt. Niemasz bowiem materji bez masy. Masa zaś ciał zmienia się w ruchu“.

Przedewszystkiem wzór Einsteina $E = m \cdot c^2$ (energia = masa \times kwadrat prędkości światła) głosi tożsamość energii i masy, nie zaś, jak sądzi Jarosz, energii i materji. Zgruntu fałszywe i antydialektyczne jest twierdzenie, że „niemasz materji bez masy“. Materja wcale wraz z masą nie znika, znika jedynie owa granica, do której znalazły dotychczas materję, znikają takie właściwości materji, które się dawniej wydawały absolutne, niezmiennie, pierwotne (bezwładność, masa), a które obecnie okazują się względne, właściwe jedynie pewnym stanom materji. „Bo jedną „własnością“ materji, z której uznaniem związany jest materjalizm filozoficzny, jest własność być obiektywną rzeczywistością, istnieć poza naszą świadomością“. Jest rzeczą ciekawą, że Jarosz tę definicję materji zna, przytacza ją nawet. Jak widać, znać podstawowe założenia dialektyki, i rozumieć je — to dwie całkiem różne rzeczy.

Jarosch zachłystuje się dematerjalizacją elektronu, dokładniej — procesem anihilacji elektronu i pozytronu i powstania ich

kosztem fotonu. „Dematerjalizacja“, a więc znika materja — rozumuje autor. Nie, to wcale nie materja znika. Aby postawić zagadnienie w jedynie poprawny sposób, t. zn. dialektyczny, należy zapytać: czy foton powstawał w wyniku anihilacji elektronu i pozytronu istniejącego poza świadomością ludzką jako obiektywna rzeczywistość, czy nie? Na to pytanie fizycy odpowiadają bez wahania: tak, podobnie jak biologicowie bez wahania uznają istnienie przyrody przed pojawieniem się człowieka na ziemi. I to rozstrzyga zagadnienie na korzyść materjalizmu.

„Idealisci negując niezmiennosć znanych dotychczas elementów i właściwości materji staczają się do negowania samej materji, t. j. obiektywnej rzeczywistości fizycznego świata“.

Jarosch usiłuje „poprawić“, „uzupełnić“ Engelsa. Stwierdzenie Engelsa, że ruch jest formą istnienia materji „uzupełnia“ takim „odkryciem“: „Materja jest formą bytów ruchu. Engels nie miał danych dla tego oszalałającego odwrócenia swej tezy. Nie wiedział, że aż tak daleko sięga dialektyka przyrody“. Jeśli zdanie to oznaczać ma tylko, że ruch jest nie do pomyślenia bez poruszającej się materji, to nie mówi ono ani o dźdźbio więcej, niż teza Engelsa. Jeśli zaś ma zawierać „coś więcej“, to jest to czyste wody idealizm, dopuszczający ruch bez materji. A więc w najlepszym razie „oszalałająca“ gra słów zamiast dialektyki, beztreściowe gadulstwo, w najgorszym zaś — mętny frazes idealistyczny.

„Ale nauka ta postąpiła naprzód nietylko od czasów św. Tomasza, ale także i Engelsa“ — pisze Jarosz. To prawda, że nauka postąpiła naprzód, ale od czasu Engelsa niewiele zmieniło się w sposobie przemycania idealizmu pod przykrywką deklamacji o dialektyce.

Jarosch zarzuca Jeansowi efekciarstwo, a czemuż są jego sformułowania i długie przypisy?

Jarosch nie zrozumiał, jak widać, ani słowa z dialektycznego traktowania czasu i przestrzeni, jak nie rozumiał ani słowa z zagadnienia ogólniejszego: ze stosunku prawdy absolutnej do prawd względnych. Pisze on: „czas i przestrzeń Engelsa były absolutne. Takie same jak św. Tomasza“. A przedtem: „Każdy układ fizyczny, poruszający się w przestrzeni ma swój własny czas względny, którym mierzy zjawiska, czas zaś absolutny nie istnieje, jak nie istnieje przestrzeń absolutna i ruch absolutny“.

„W świecie niema niczego prócz poruszającej się materji, a poruszająca się materja nie może poruszać się inaczej, niż w przestrzeni i czasie. Ludzkie wyobrażenia o przestrzeni i czasie są względne, ale te względne wyobrażenia składają się na prawdę absolutną, przybliżają się do niej. Zmienność ludzkich wyobrażeń o przestrzeni i czasie w równie małym stopniu obala ich obiektywną rzeczywistość, jak zmienność naukowych faktów z dziedziny budowy i form ruchu materji obala obiektywną rzeczywistość zewnętrznego świata“. Engels obstawiał nie przy — opartyh o osiągnięcia współczesnej mu wiedzy — pojęciach o czasie i przestrzeni, ale tylko przy obiektywnej ich rzeczywistości. Nasze rozwijające się pojęcia o czasie i przestrzeni odzwierciedlają obiektywnie realny czas i przestrzeń, przybliżając się i tutaj, jak wszędzie, do obiektywnej prawdy.

„Może się zestarzeć i starzeje się z każdym dniem nauka o budowie materji, chemicznym składzie pożywienia, o atomie i elektronie, ale nie może zestarzeć się prawda, że człowiek nie może żywić się myślami i rodzić dzieci w wyniku miłości platonicznej. A filozofja negująca obiektywną rzeczywistość czasu i przestrzeni jest równie bezsensowna, zgnęła i fałszywa jak negowanie tych ostatnich prawd. Wybiegi idealistów i agnostyków są równie obłudne, jak głoszenie miłości platonicznej przez faryzeuszów“.

Szczytem mglistości są następujące zdania artykułu — kosmologiczne credo Jarosza —: „Coś“ eksplodowało w nicości. Przerwało ją. Jesteśmy drobinami eksplozji“. Sądzę, że autor tych zdań zapytany o ich znaczenie sam nie potrafiłby go wyjaśnić. Wobec takiej, do niczego nie zobowiązującej frazeologii, „odwaga załamuje ręce“ — jak mówi poeta.

Jeszcze raz o materji. „Engels przypisywał materji „wieczność“. My zaś bynajmniej nie traktujemy tego atrybutu jako „tabu“, bowiem jedyna „własność“ materji, z której uznaniem związany jest materjalizm filozoficzny, jest własność być obiektywną rzeczywistością, istnieć poza naszą świadomością“ — pisze Jarosz. Wymienienie jednym tchem definicji materji (z której wynika jej wieczne istnienie) i twierdzenia negującego jej wieczność, to jest godne sztukmistrza cyrkowego ideologiczne salto mortale. Zapewne, konsekwencją to rzecz trudna.

Engels pisze w „Ludwiku Feuerbachu“: „wraz z każdym stanowiącym epokę odkryciem... materjalizm nieuniknienie winien

zmienić swą formę“. A więc rewizja formy materjalizmu Engelsa, rewizja jego przyrodniczych twierdzeń nietylko nie zawiera w sobie nic rewizjonistycznego, w przyjętym sensie słowa, ale naodwrot, tego rodzaju rewizji wymaga marxizm. Jaroszowi zarzucić należy wcale nie taką rewizję, a czysto rewizjonistyczną chęć zmiany istoty materjalizmu pod przykrywką krytyki jego formy.

Aleksander Nietlisz (Warszawa)

NOWE MOŻLIWOŚCI FILMU

Do redaktora „Sygnałów“

Ciekawy artykuł Gabrieli Pauszer w nr. 60 „Sygnałów“ był nieoczekiwaną i miłą dla mnie niespodzianką. Przy dzisiejszej postawie t. zw. prasy filmowej ma duże znaczenie to, że „Sygnały“ znalazły miejsce dla omówienia zagadnień, bądźco-bądź wkraczających w dziedzinę teorii sztuki, która dość często jest tematem ciekawych i pouczających dyskusyj.

Każdy z nas pamięta powstanie filmu dźwiękowego i ówczesne różnice zdań na temat kierunku, jaki powinien obrać. Jedni opowiadali się za filmem mówionym, przepowiadając upadek teatru pod naporem konkurencji kina; drudzy uważali słowo za zbyt ciężki dla filmu balast i ograniczali się jedynie do wprowadzenia muzyki, utrzymując w ten sposób tradycję filmu niemelego; inni znów spodziewali się zastąpienia przez kino sal koncertowych i t. d. Po kilkunastu latach, przetrzymawszy próbną niecia, stał się film dźwiękowy niezależną i niezastąpioną dziedziną sztuki, która — czerpiąc bardzo wiele zarówno od swej poprzedniczki — filmu niemelego, jak i od zanej protektorki — muzyki, — daje reżyserowi, operatorowi i kompozytorowi nowe, wielkie pole popisu. Współpraca aparatu kinematograficznego z fonografem, zrazu pojęta jako rzecz nie wymagająca doświadczenia nowego (wystarczyło, że jednocześnie „rusza się“ i „śpiewa“), stała się brzemienneą w następstwa, sięgające bardzo głęboko w zasadnicze pojęcia o sztuce.

Mimo że już kilka lat rozwija się film rysunkowy (kreskówki, kolorowe krótkometrażówki), nie traktowano tego nowego rodzaju sztuki zbyt poważnie. Dopiero Włata Disneya „Królewna Śnieżka“ stała się filmem rysunkowym, który z ekranów całego świata głośno powiedział swoje: „Jestem!“ Dopiero teraz zaczynamy się wszyscy zajmować tem nowym zjawiskiem w sztuce filmowej, zastanawiać się nad jego znaczeniem i wartością.

Stosunkowo powolny rozwój filmu rysunkowego tłumaczy się wielkimi trudnościami technicznymi w jego urzeczywistnieniu. Nic dziwnego; jeśli dotychczas umieliśmy zjawiska zatrzymywać w czasie (fotografja), lub utrzymywać ich ruch (kinematografja), to dziś film rysunkowy ożywia formy martwe — jak to świetnie określiła Gabriela Pauszer. Przy dzisiejszej pomysłowości wynalazców należy się jednak spodziewać ciągłego ulepszenia metod technicznych tak, że zasadniczej przeszkody z tej strony chyba nie będzie. Zbyt pochopne jest z tego względu uważanie filmu rysunkowego tylko i jedynie za eksperyment, nie mający większych możliwości rozwojowych.

Nie należy również sądzić, że ograniczy on swoją „sferę wpływów“ do pewnego tylko gatunku filmów, że poprzestanie na komedijkach, bajkach i t. d. Przecież już w „Królewnie Śnieżce“ osiągnięto zaciękanie akcji, a w niektórych scenach nawet — odważyłbym się powiedzieć — napięcie dramatyczne (np. w scenie, gdy Czarownica częstuje Śnieżkę jabłkiem, krasnoludki zaś biegają na ratunek). Dziś bowiem szeroka publiczność domaga się już od filmu nietylko przedstawienia przygód, ale i traktowania zagadnień, nie troszczy się przytem zbyt o to, czy rolę grał autentyczny człowiek, czy jakaś namiastka — malowana lalka (to zresztą na ekranie nie sprawia wielkiej różnicy). Możemy więc dojść do tego, że i poważne, głębokie filmy realizowane będą nową metodą — rysunkową, i kto wie, czy nie przedstawiają wielu spraw lepiej, głębiej, dosadniej, niż filmy dzisiejsze.

A teraz druga jeszcze sprawa, bardzo istotna: rola rysownika i malarza w rozwoju filmu rysunkowego, i odwrotnie — znaczenie filmu rysunkowego dla malarstwa.

Gdy spróbujemy wyróżnić w sztuce statykę od kinematyki, rzeczy stałe, niezmiennie, od ruchomych i zmieniających się w czasie, zauważymy, że np. maski dawnego teatru greckiego znalazły „odpowiednik ruchowy“ w mimice teatralnej, rzeźba — w tańcu artystycznym, fotografja — w kinematografji. Odpowiednikiem ruchowym rysunku jest film rysunkowy: mamy tu ruchomy rysunek, w którym nietylko kontur postaci i przedmiotów, ale i ruch ich jest w zupełności uległy rękóm artysty — twórcy. Co więcej! Przecież dziś film posługuje się wspaniałą skalą barw, która nie mogła być w należytym sposób wykorzystana w filmie zwykłym; zbyt jaskrawy był kontrast „szarej“ rzeczywistości z kolorowym obrazem na ekranie. Ale barwny film rysunkowy — czy nie dość należyte przygotowanie do poruszenia malarstwa w czasie, do uruchomienia tej dziedziny sztuki? Zapożyczanie malarstwa filmowego już nastąpiło; dokonali go Fleischer, Disney i inni. Czekamy teraz na tych, którzy wyzyskać potrafią zdobycze techniczne dla wyprowadzenia dorobku sztuki malarskiej z salońów i muzeów, i dania jej nowych możliwości, o których dawniej nie myślano nawet. Tu wreszcie, w filmie malarskim, mogłaby się spotkać oko w oko z rzeczywistością wielka legenda o bliskości malarstwa i muzyki, dwóch dziedzin, biegunowo od siebie różnych pod względem ruchu: malarstwo jest tylko statyczne, muzyka — tylko zmienna. Tu oglądalibyśmy „koncerty barw“ przy akompanjamencie „barwnych symfonij“.

Powstaje kwestja, czy w obecnej sytuacji na rynku filmowym znajdzie malarstwo zwolenników, zarówno pośród konsumentów, jak i producentów filmowych, szczególnie, że stoi ono na wysokim poziomie i potrafiło odbiec daleko od płytko pojętego „odtworzenia rzeczywistości“, — i czy wskutek uzależnienia od wymagań kasowych i kiesowych nie obniży się jego poziom. Podobne zjawisko, w mniej drastycznym stopniu, zdarzyło się z wprowadzeniem muzyki do kina. Ale jak w tamtym wypadku, tak i tu zwiększy się zainteresowanie malarstwem wogóle, malarstwo zaś filmowe stanie się nową dziedziną sztuki, której zakresu dziś niesposób określić.

Marek Folman (Warszawa)

W SPRAWIE JANOSIKA

Do redaktora „Sygnałów“

W szesnastym roczniku (1938) wydawnictwa P. T. T. „Wierchy“ opublikował K. A. Jaworski recenzję z jego poematu o Janosiku. Omawiając zyczliwiejszą wady i zalety utworu, redaktor „Kameny“ podniósł w formie zarzutu, że Janosik w mojej interpretacji „nie urasta na bohatera ludowego, obrońcę sprawiedliwości“, że za mało wyzyskałem „pierwiastek rewolucyjno-społeczny“ wtku. W ostatecznym rezultacie — zdaniem K. A. Jaworskiego — „ta społeczna strona poematu wypadła najslabiej“.

Ponieważ wskazana kwestja, wiążąc się wprowadzając integralnie z moim utworem, zasadniczo należy już — jak się okaże — do szerszej dziedziny zagadnień, niechaj mi wolno będzie wbrew wstydlivym zwyczajom zakwestjonować opinię krytyka.

Naogół wiadomo, że poeta Janosika w moim poemacie ukształtowałem na podstawie źródeł historycznych, starając się pozostawać z nimi w jak najlepszej zgodzie. Wierność t. zw. prawdzie historycznej wydałaby mi się jedynym — ale i dostatecznym — usprawiedliwieniem, ba! właściwym nawet sensem ryzyka, za jakie należy uważać podjęcie po Tetmajerze tematu „Janosika“. Ten zasadniczy dla oceny charakteru poematu fakt bardzo wyraźnie zresztą podkreśla w swojej recenzji sam K. A. Jaworski. Znane jest również memu krytykowi główne źródło, skąd czerpałem materiał rzeczowy — mianowicie praca Józefa Krzyżanowskiego, p. t. „Proces Janosika“. Świadomość tego faktu posłużyła przecież Jaworskiemu do b. zaszczytnego dla mnie przeciwwstawienia „Janosika z Tarchowej“ wspaniałej kreacji Tetmajera.

I otóż tu muszę stwierdzić, że niewiele (poza legendą) — najmniej zaś może praca Krzyżanowskiego — upoważnia do traktowania historycznego Janosika jako świadomego obrońcy krzywd chłopskich.

Prawda, że zjawisko zbójnictwa na Podtatrzu uwarunkowane było względami natury społeczno-ekonomicznej, a nie jakąś oderwaną od podłoża socjalnego „naturą“ ludzi gór. Mimo to nie może być mowy o akcji Janosika jako o świadomie podjętej rebelji społecznej, co usiłuje sugerować Jaworski. Sam mój krytyk wszakże nie jest zhyt w tej sprawie konsekwentny, powiadając, że Juro Janosik z Tarchowej „nie jest polskim Pugaczowem (już raczej Kostka Napierski jest w tej roli odpowiedniejszy)“. Na to zgoda! Ale wtedy nie chodzi już o takie czy inne — właściwe lub nie — ukształtowanie bohatera utworu, ale o zasadniczą sprawę wyboru tematu. A tymczasem utwór mój jest poematem o historycznym Juro Janosiku z Tarchowej, a nie obojętne, jakim „obroncy krzywd chłopskich“.

Wyjaśniając tę zasadniczą kwestję, nie myślę bynajmniej rezygnować z prawa do traktowania mego utworu jako pracy poetyckiej o charakterze „społecznym“. Janosik z Tarchowej — nie będąc świadomym bojownikiem o sprawiedliwość społeczną — odegrał swoją rolę społecznie postępową, wyznaczoną mu przez dialektykę stosunków społecznych. Wystarczy następujące wyjaśnienie.

KUP
LWÓW
w kolekturze
DOMU BANKOWEGO
SCHÜTZ i CHAJES
LWÓW, PL. MARIACKI 7

Ciągnięcie I-ej klasy 44 Loterii

23 lutego

NELA GAJZLERÓWNA

CHAŁUPNICY

F. HOESICK Cena 2 zł.

Według legendy tatrzański heros grabił możnych, a hojny był dla ubogich. Legenda czyni z tego „ideologię”. A kogo miał on ograbić? Biednych? (Choć i to mu się czasami udawało). A że rozdawał innym, co nagrał — no! to już zupełnie inna kwestja, a nawet wiele kwestyj. Najważniejszym motywem tej strony jego działalności była niewątpliwie chęć znalezienia sobie oparcia dla swej akcji rozbójniczej. A na kim miał się w niej opierać, jeśli nie na masach ludowych, z nienawiścią spoglądających w stronę możnych „madziarskich grafów”? Z akt sądowych zresztą wynika, że jak dla „ubogich”, bywał również hojny wobec urzędników administracyjnych i sądowych. Poprostu płacił łapówki.

Powiada Jaworski, że „Dobrowolski (zgodnie z opinią Józ. Krzyżanowskiego), szuka w poczynaniach Janosika początków wyzwoleńczego ruchu chłopskiego w Polsce”. Prostuje. Po pierwsze więc — nie w Polsce. Zgodnie z opinią Krzyżanowskiego Juro Janosik z Tarchowej — jak samo miejsce urodzenia wskazuje — był Słowakiem i działał prawie wyłącznie na Słowaczynie, ściślej biorąc, na Spiszu, Orawie, Morawach i Śląsku (zaolziańskim!), czyli na terenach ówczesnej monarchji Habsburgów. W każdym razie — nie w Polsce. Celem zaś poszukiwań moich było ukazanie obiektywnej roli społecznej zbójnictwa podtatrzańskiego, a co za tem idzie ujawnienie źródeł mitu ludowego o Janosiku — polsko-słowackiego mitu chłopskiego. I o taki kręgosłup społeczny poematu chodziło mi w pracy nad „Janosikiem z Tarchowej”.

Reszta — to nieważne szczegóły.

Stanisław Ryszard Dobrowolski
(Warszawa)

KONKURS NA SZTUKĘ DLA ZESPOŁÓW TEATRALNYCH

Do redaktora „Sygnałów”

Teatralne zespoły robotnicze odczuwają wielki brak odpowiednich sztuk do odgrywania. Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego (T. U. R.), Zarząd Główny w Warszawie, rozpisuje wobec tego konkurs.

Sąd konkursowy z ramienia T. U. R., w którego skład wchodzi: Aleksander Maliszewski, Zofja Nałkowska, Wanda Niczowa, Eugenjusz Poreda, Edward Szymański, Natalia Zarembina, Jerzy Zawieyski, Aleksander Zelwerowicz i członkowie zarządu głównego T. U. R.: Dorota Kluszyńska, Michał Sokołowski i Zygmunt Piotrowski — ustalił na posiedzeniu 8 stycznia b. r. następujące warunki:

1. Utwór powinien być oparty na ideologii T. U. R., t. j. hołdującej zasadom wolności, demokracji i sprawiedliwości społecznej, przystosowany zaś, w miarę możliwości, do potrzeb i warunków scen robotniczych (niewielka obsada, czas trwania przedstawienia nie dłuższy niż godzinę i pół).

2. Utwór nie może być przed konkursem ani publikowany ani wystawiany.

3. Ustala się 6 nagród w łącznej kwocie jeden tysiąc złotych (nagrody po 300.— zł., 200.— zł., 150.— zł. i po 100.— zł.). Sąd zastrzega sobie zmianę klucza podziału nagród. Poza nagrodzonymi sztukami mogą być sztuki wyróżnione i polecane. Utwory nagrodzone stają się własnością T. U. R.

4. Termin zgłaszania prac — do dnia 31 marca 1939 roku. Należy nadsyłać (maszynopis) pod adresem: Sekretariat Generalny Zarządu Głównego T. U. R., Warszawa, Czerwonego Krzyża 20. Utwory należy podpisywać godłem. W kopertach zamkniętych, dołączonych do utworu, należy podać godło, nazwisko i dokładny adres autora.

5. W pierwszych dniach maja b. r. ogłoszony zostanie wynik konkursu w prasie, nagrodzeni zaś autorzy zostaną zawiadomieni listownie.

W prasie robotniczej ukaże się artykuł, omawiający szerzej cele i zadania konkursu.

Za Zarząd Główny T. U. R.:
Zygmunt Piotrowski
sekretarz generalny

SPROSTOWANIE

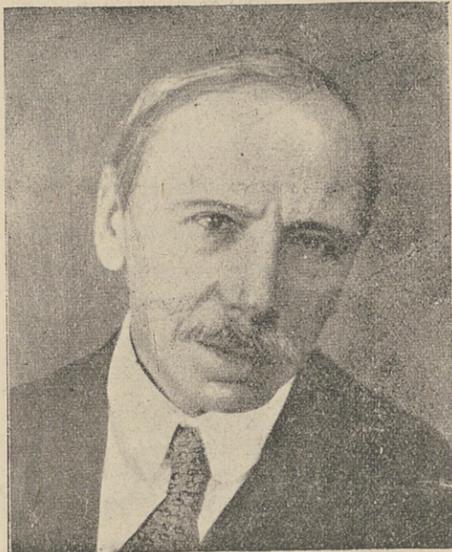
Do redaktora „Sygnałów”

W artykule p. t. „Kościół, kler i wieś”, zamieszczonym w nr 61 „Sygnałów” sprostować należy następujące błędy drukarskie: Lam II, w. 37 — ma być „stosunek do duchowieństwa” (a nie „stosunek duchowieństwa”).

Lam II, w. 48 — ma być „do tych organizacji” (a nie „do ich organizacji”). Lam III, w. 5 — ma być „areligijność wsi” (a nie „religijność wsi”).

Bolesław Dudziński (Łódź)

NAGRODY LITERACKIE



Artur Górski otrzymał państwową nagrodę literacką za rok 1938.



Jerzy Andrzejewski otrzymał tegoroczną nagrodę młodych Polskiej Akademii Literatury.

OD WYDAWNICTWA

Prosimy wszystkich naszych Szanownych Prenumeratorów i Czytelników o współpracę.

„Sygnały” pragną poruszać wiele aktualnych zagadnień, zaprosić do współpracy znakomitych pisarzy, pragną powiększyć ilość stron, wprowadzić nowe działy, rozszerzyć je i wzbogacić.

Tylko wspólny wysiłek redakcji, Czytelników i Prenumeratorów przyczyni się do szybkiej rozbudowy naszego pisma.

Prenumerata jest podstawą bytu i rozwoju „Sygnałów”.

Jeśli każdy Czytelnik zostanie Prenumeratorem, będziemy mogli od razu powiększyć pismo conajmniej o 4 strony.

Jeśli każdy Przyjaciel pisma pozyska nowego prenumeratora, w „Sygnałach” będą współpracowali wszyscy znakomici pisarze i publicyści.

Jeśli w krótkim czasie zdobędziemy tysiąc nowych prenumeratorów, pismo będzie coraz lepsze i ciekawsze.

Rzucamy więc hasło:

Tysiąc nowych prenumeratorów dla „Sygnałów”! Każdy Czytelnik zostaje Prenumeratorem, każdy Przyjaciel zdobywa nowego Prenumeratora!

„Sygnały” są najtańszym polskim pismem społeczno-literackim. Prenumerata roczna wynosi 7 zł. W prenumeracie rocznej cena numeru wynosi 29 groszy razem z przesyłką.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie.

Żądajcie „Sygnałów” w kioskach, kawiarniach i czytelniach.

TEATRY WARSZAWSKIE

Niepisane lecz odwieczne prawo teatru wymagało zawsze, by w karnawale na scenie królowała również „beztroška zabawa”. W miarę jak zanikać zaczęły zamierzone już dziś obyczaje karnawałowe, jak coraz trudniej o tego rodzaju zbiorowe przejawy samorządnej, nie dyrygowanej radości — teatr coraz bardziej przejmując na siebie rolę środka podniecającego, krzeszącego wesołość z tych, co sami z siebie już jej wykręcać nie potrafili. Tu leży jedno ze źródeł powodzenia komedji, a niepopularności dramatu w dzisiejszym teatrze. Rozciągając swą działalność charytatywną na przeciąg całego roku, nie ma on już dziś potrzeby trzymać się kalendarzem przewidzianych terminów. Zachowuje je jednak gwoli tradycji, jeśli nie inaczej to choć w tytule; i jedyną maskaradą obecnego karnawału będzie zdaje się „Maskarada” Iwaszkiewicza.

Czysta zabawa święci tryumfy w Teatrze Kameralnym, wystawiającym „Dom warjatów” Lulofsa. Sobie udzielając zasłużonego odpoczynku, dyr. Adwentowicz wciągnął do tej niefrasobliwej zabawy kilka najmłodszych „gwiazdek ekranu”, a czyniąc tak, dobrze uczynił, bo jeśli z tych piskląt wykluczyć się mają istotnie przyszłe gwiazdy, to pewna, że nie wykształcą ich na nie nasi reżyserzy filmowi, wśród których sztuka wyszukiwania talentów wciąż jeszcze stoi na poziomie czerwoniaczkich konkursów „czy jestem fotogeniczna”. Niejedna z takich prób udała się już Adwentowiczowi; miejmy nadzieję, że i tym razem połów się uda.

Ku zabawie zweeksłował także i Teatr Nowy z „Żywym ładunkiem” Winawera. Dziwna to rzecz, że utalentowani polscy komedjopisarze, jak Cwojdzkiński lub Winawer, pozostawiają pisanie komedji scenicznym wyrobnikom, a sami wyżywają się w figlach scenicznych. Nowa komedjka Winawera sporządzona jest według stałej recepty: trochę okrucichów z laboratorium, nieco popularnych aktualności, szczypta młodej Warszawy — a wszystko to zawinięte w filozoficzny humor człowieka wiedzącego, jaką marnością są wszystkie faszysy wobec milionów lat świetlnych. Zgromadziwszy na polskim motorowcu transatlantyckim pewną liczbę zabawnych postaci, zbieranych

— ot, przygodni wycieczkowicze — po rozmaitych lamusach, otrząpał je z kurzu, potem się z nich pośmiał, mrugnął filuternie na temat „efektów”, jakie wyciągnęły z tego prawdziwy spec od teatru i — spuścił kurtynę; ale komedji o tem wszystkim nie napisał. Widz czuje się po tem trochę jak gość, któremu zamiast obiadu dano tylko spis potraw; zresztą poniekąd widz tylko, naogół bowiem publiczność jest najzupełniej zadowolona, że nie kazano jej rozwiązywać żadnego problemu ani wzruszać się niczym losem.

Nie mam nic przeciwko wznawianiu „Grubych ryb” (Teatr Narodowy), szczególnie jeśli tradycje Wojdałowicza, Frenkla, Kamińskiego przejmują tacy mistrze jak Zelwerowicz, Leszczyński, Stanisławski; ale chciałbym, by rzecz sprowadzona była do właściwych proporcji. Bałucki nie był pisarzem, którego można by zaliczyć do klasyków naszej sceny; jeśli komedję jego stanowią odbicie epoki i sfery, w których zostały poczęte — nie są ich prześwietleniem, lecz co najwyżej ich dokumentem. Otóż jest rzeczą niepokojącą, gdy utwory takie — zamiast demonstrować, zamiast pokazywać, jak właśnie zmieniły się perspektywy, jak przestawily się obyczaje i t. d. — poprostu bawią tylko swym nieskomplikowanym humorem. Zapewne, zaloty starszego pana do młodej dziewczynki zawsze będą zabawne; ale niech nam się nie wydaje, że kulturywujemy wielki repertuar, gdy tylko zaspokajamy gusty niewybrednej publiczności.

Cóż robić jednak, kiedy publiczność ta nie chce być wybredna? „Poprostu człowiek” Unamuno przeszedł przez ręce aż dwu przykroczona została do tego popularnego poziomu, do jakiego stosować się musi ten peryferijny nieco teatrzyk, a problemat wewnętrznej wartości człowieka w przeciwstawieniu do zewnętrznego blichtru „gentlemana” sprowadzony został do poziomu „Trędowatej” i romansów z gatunku „Hrabina i lokaj”. Toteż jeśli Teatr Malickiej, otwierając swą drugą scenę w Warszawie, chciał tym sposobem odgrodzić swą działalność peryferijną od działalności artystycznej — należy mu tylko przyklasnąć.

O otwarciu tego teatru „Panią Bovary” w przeróbce Nałkowskiej, o nowej sztuce Szaniawskiego w Ateneum, a wreszcie o „Madame Sans - Gêne” z Eichlerówną w Letnim — już niestety następnym razem.

Jerzy Pański



CODZIENNY PORANNY ORGAN
WSZYSTKICH LUDZI PRACY
WALCZY

o demokrację
Przynosi:
najświeższe
wiadomości
z kraju i zagranicy
Cena numeru 10 gr.

Prenumerata miesięczna zł 2.50
Żądajcie numerów we wczesnych godzinach rannych, we wszystkich punktach sprzedaży, kioskach „Ruchu” i urzędach pocztowych.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
WARSZAWA, WARECKA 7
KONTO P. K. O. Nr 175

Oddziały: „Naprzód” Kraków, ul. Św. Tomasa 11 a. „Gazeta Robotnicza” Katowice, ul. Teatralna 12. „Łodzianin” Łódź, Al. Kościuszki 29. „Robotnik Piotrkowski”, Piotrków Tryb. ul. Piłsudskiego 64. „Robotnik Radomski” Radom, ul. Kelles-Krauz 1. „Robotnik Poznańsko-Pomorski” Poznań, ul. Stroma 24. „Robotnik Białostocki” Białystok, Rynek Kościuszki 29.

Brak pisma prosimy reklamować w Administracji.

JEDYNE MIEJSCE SPOTKAŃ
KNAJPA ARTYSTYCZNA
- ATLASA -
LWÓW, RYNEK 45



rys. Z. Wasilewski

SYNOWIE NIEBA

EPOKA

NIEZALEŻNE CZASOPISMO SPOŁECZNE
POLITYCZNE I LITERACKIE

EPOKA broni zasad wolności i sprawiedliwości społecznej

EPOKA zawiera w każdym zeszytcie obfity przegląd najważniejszych spraw naszych czasów

EPOKA zamieszcza artykuły wybitnych piór publicystycznych i literackich

EPOKA jest wszędzie do nabycia

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5
TEL. 2.13-90

Prenumerata jest podstawą bytu i rozwoju „Sygnałów”

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztove konto rozrachunkowe nr. 1.